

WILHELM FELDMAN.

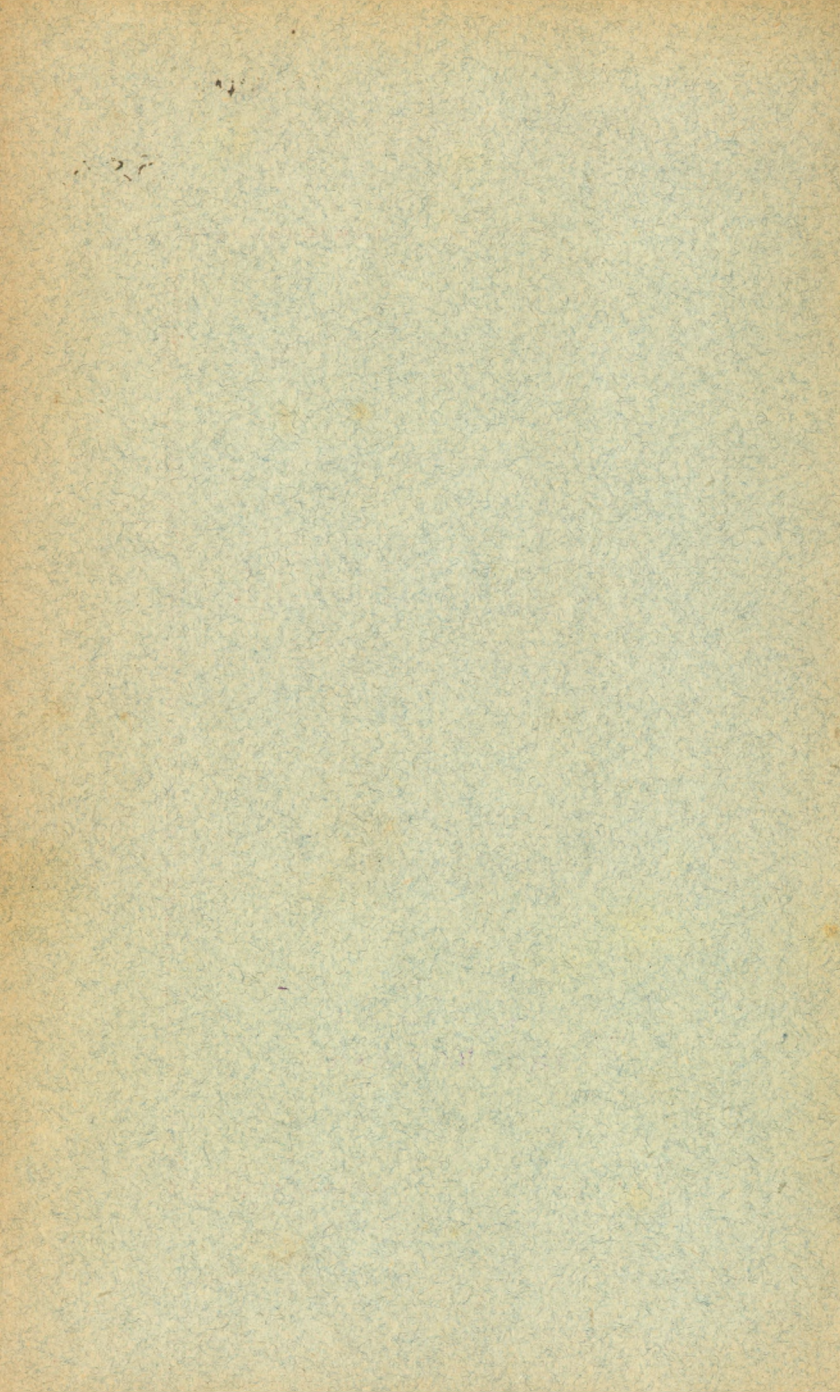
NOWELLE I OBRAZKI.

Zapóźnie. — *Za aniołem*
strósem. — *Idylla.* —
Ze świata nędzy. —
Lekkołuch. — *Ofiary.*

KRAKÓW.

NAKLADEM G. GEBETHNERA I SPÓŁKI.

1889.



Zajackoway

sen 383.

NOWELLE i OBRAZKI

NASZKICOWANE

PRZEZ

WILHELMA FELDMANA.



Księgozbiór
Zajackowski

KRAKÓW.

G. GEBETHNER i SPÓŁKA.

1889.

Księgozbiór
Załącznikowski



884-3

I 78803

78803



Druk W. KORNECKIEGO W KRAKOWIE.

Wielmożnemu Panu
Dr. Arnoldowi Rapaportowi


Posłowi
na Sejm krajowy i do Rady Państwa,
Mecenasowi
literatury i sztuki ojczystej

poświęca

Autor.

ZAPÓŽNO.



 kilkunastudniowej podróży wracał *reb* Aron do domu. Zwiedził przez ten czas kraju szmat ogromny i porobił interesów niemało, a jak świętych! Ot, siedzi teraz w wagonie trzeciej klasy, a przed oczyma przesuwają mu się, jak w czarodziejskiej panoramie, obrazy i wspomnienia kupców i *geszeftsmanów*, z którymi miał do czynienia. Rozmyśla o nich i uśmiecha się do siebie z zadowoleniem, co mu szerokie usta rozszerza od ucha do ucha.

A jakże. Uzyskał *kudmanów* w całej prowincyi, zamówień ma huk i zaliczek dużo. Wszystko idzie doskonale. Za dni kilka otworzy wielką garbarnię, fabrykę prawie, wyroby rozrzuci po całym kraju, pieniądze ze wszęch stron będą się zlatywać — co to za ruch nastanie, co za życie! Ho, ho! intratny to *geszefcik*! Przynosi conajmniej dwadzieścia od sta, a ponieważ on przystępuje z kapitałem dziesięciu tysięcy...

Zatarł ręce, a płaski, szeroki nos jego, zwieszający się jak kapturek nad grubemi wargami, wydymał się, jakby zdobył węższy.

Bo też podróż obecna przyniosła mu zdobył wielką... U lichwiarzy powiatowego miasta zakupił weksle, wystawione na kilkanaście tysięcy przez właściciela sąsiedniego folwarczku. Teraz nie łatwiejszego, jak zaskarżyć te weksle, obdłużonego, a pozbawionego kredytu panka przycisnąć, wystawić własność jego na licytację i zakupić za bezcen... Posiadłość to wprawdzie mała, ale zawsze piękna. I tak on — syn prostego arendarza, zostanie „obywatelem,” właścicielem ziemskim, będzie miał dworek własny, gospodarstwo, imię między ludźmi i poważanie... Co za raj, co za szczęście!...

Sapanie i syki lokomotywy ustały na chwilę. Do pustego dotąd *coupé* wtoczył się jegomość o pełnem, rumianem obliczu i siwych wąsach.

— Przekłęcie gorąco, *panie dzieju!* — zawołał rzucając się na ławkę i ocierając pot kroplisty.

Aron uwagi nań nie zwrócił, zatopiony w swych myślach. Przed pięciu laty żeniąc się, miał własnych tysięcy reńskich a posagu dostał dwa razy tyle; obecnie kapitalik ten, dzięki szczęśliwym obrotom, pomnożył się w trójnasób. Co będzie za drugie lat pięć!

Aż mlasnął językiem z zachwytu, z fantazyą zakręcił grube ogonki przy uszach, a wielkie jego kocie oczy błyszczały radośnie. Wyjął z kieszeni zatłuszczoneą, nadartą notatkę i zaczął w niej coś kreślić i liczyć. W zadumie raz poraz głaskał pejsy, to znowu mrugał oczyma, jakby się z kimś porozumiewał w ważnej sprawie.

Siedzący na przeciwnej ławce pasażer patrzył nań z drwiącą uwagą, a siwe wąsy drgały mu, jak w śmiechu tłumionym. Nareszcie podniósł się i uderzył go rubasznie po ramieniu.

— Cóż to, nie poznajesz mnie, *panie dzieju*?

Jak obudzony gwałtownie ze snu głębokiego Aron rzucił się przestraszony.

— Aa, pan Dorecki!

Nastroił twarz poważnie.

— Widzisz, bratku — powiada pan Dorecki — nie tak to temu dawno — pamiętasz? jak stary, *panie dzieju*, zamykał cię w karczmie z belferem, aby wyhodować sobie rabina, a ty, szelma chłopak, przylatywałeś do mnie i kupowałeś korzec żyta, jaj kopę, *panie dzieju*, drzewa furę.. co? teraz mnie nie poznajesz?

Reb Arona twarz chmurą się obwlokła. Nie lubił tych wspomnień, a jeszcze bardziej raził go ton ekonoma.

— Ej, co to dużo gadać — odparł kwaśno. —

Tera ja już całkiem *inakszy*..... *tera* ja *sobi* taki sam obywatel jak i pan..

Ekonom zagryzł wargi.

— Jak widzę, stałeś się cały *morejne*... a ja cię jeszcze znał takim o! pędrakiem..

— Jakże tam idą interesa, *panie dzieju*? — zapytał po chwili.

— *Fenteresa*? coby tam *szli* dobrze? paskudne czasy, *ciężki* czasy...

Pan Dorecki głośnym wybuchnął śmiechem.

— Znamy się na tem, *panie dzieju* U was to zawsze tak. A czegoś się.. pan, *panie dzieju*, przed chwilą uśmiechał i *icki* podkręcał?

Reb Aron się skrzywił. Nie lubił, gdy wglądano w jego sprawy.

— A co się mam smucić? — powiada. — Czy to pomoże?

Na tę filozofią podróżny nie miał już odpowiedzi.

Reb Aron znów się skulił w kącie, pogrążony w zadumie. Za kilka kwadransów będzie już w domu. Tam żona i młody Abrahamek czekają niecierpliwie. Czy oni bodaj zdrowi?

Żona szczególnie, co od dwóch lat taka blada jak papier, a wątła, a delikatna, jak hrabina. Oj ta żona, ta żona!...

Westchnął z głębi serca.

— Cóż tam zresztą u pana słychać? — zaczął ekonom znowu po chwilowej przerwie. — Jakżeż tam familia, he? rośnie, *panie dzieju*, rośnie jak pan Bóg przykazał — co? Wy się przed pięciu laty pobrali, jeżeli się nie mylę, no, więc teraz musi was być koło półtuzina.. Prawda?

— *Jedne* mam dziecko, jak pan wiesz — rzecze Aron nieco opryskliwie.

Ekonom z politowaniem pokiwał głową.

— Wstyd doprawdy Aronku, wstyd!... Ale bo też żona wasza, *panie dzieju*, nie taka jak wszystkie Ryfki..

Jakby wskutek pociśnięcia czulej sprężynki, Aron nagle wybuchnął:

— Żona!... co to za kobieta, co za kobieta! *Aboż* ja wiem, co o niej *myszeć*?

Tu przybrał ton poufniejszy, jakim się mówi do starego, dobrego znajomego o bolach swych, tajonych przed światem. Skarżył się, że ona taka jakos dziwna.... Inni mają gospodynie *fanaberye*, co i Bogu są pociechą i ludziom a jego niebo ukarało taką *dama*... Zawsze nosi przy sobie książki i sprowadza gazety i psuje więcej papieru na jakieś tam bazgraniny, niż on zużywa na rejestra. Prawdziwa kara boża. Ani *kugla* porządnego nie upiecze, ani w bóżnicy po ludzku się nie pomodli..

— Toż znam ją *panie dzieju!* — przerwał eko-

nom. — Pamiętacie przecie... przed dwoma laty, gdyście las kupowali. Przychodzę... przyjmuje mnie jakaś pani, śliczniutka, strojna, modna, przemawia do mnie, *panie dzieju*, polszczyzną, jak z książki — toż ty w czepku urodzony, panie Aronie! powinieś być szczęśliwy, dumny!

Reb Aron gorzko się uśmiechnął.

— Takie szczęście daj Boże moim wrogom!

Ekonom wrzucił ramionami.

— Nie dla was kielbasa. A pociś ją wziął?

— Pociś? Pociś? tak się jakoś stało..

Miesiąc przed ślubem Golda go jeszcze nie znała. On przychodził z interesami do jej ojca, poznał ją i pomyślał: jak się mam żenić, to czemuż nie z tą? Ułożył się z ojcem i wziął ją..

— Ha, ha, ha! Pan Aron zakochany! bo to przecież tylko miłość raptowna..

Teraz Aron wybuchnął śmiechem, który brzmiał jak odgłos piły, przerywającej się przez suche pniaki.

— *Mitoszcz?* — powiada — *ja zakichany? Mitoszcz* to rzecz pańska. Wy się kochacie przed ślubom a po weselu przestajecie. U nas, panie, pokochają się po pierwszej nocy i mają już na całe życie.

Ekonom brał się za boki, a okazały jego korpus trząsł się z śmiechu serdecznego, tak jak pobożny Aron przy modlitwach.

— Szelma jesteś, panie Aron, szelma.. jak Boga kocham!

Aron jednak nie uważał swej sentencji za wyskok dowcipu, i dodał do niej ilustracyą. On sam czy się radził miłości? Ba, toż Golda wówczas — mądralska wielka — płakała i rwała się i mdlała.

— Naturalnie — wtrącił pan Dorecki. — To jakby nasz hrabia zaprzął najlepszą swą klacz wyścigową do wożenia gnoju.

Reb Aronowi niewiedzieć z jakiej przyczyny serce się ścisnęło. Umilkł.

— Prawda — zaczął medytować — ona głupia. Czy ja dla niej zły mąż? Czy ja nie *gwir*? (bogacz)? Toż ja i z dobrej familii i *gabe* (zarządca) w bóżnicy... A ona dla mnie jak *princessa* jakaś...

Na to wspomnienie krew w nim zawrzała.

— Proszę pana — woła do ekonoma. — Jaka ona *tanaberya*? Że umie po frańcusku, po polsku. Toż i ja po polsku gadam, *choć* tylko w karczmie od chłopów się uczyłem.. Zna jeszcze *dryndać* na *forcypanionie*.. Owa! Co to za *chochmes* (mądrości)! Jej babka i moja babka nie umiały *takie terefere* i były bogate i szczęśliwe.. oh, szczęśliwsze niż nasze czasy.

Dalsze potoki goryczy i filozofii Arona zatałmował konduktor, oznajmiający stacyą. Ekonom, uśmiechając się jowialnie, pożegnał Arona. Ten

pozostawszy sam, skulił się w kącie i puścił wodze rozhukanej fantazyi. Niosła ona reminiscencye z przeszłości życia małżeńskiego i proroctwa na przyszłość. Reb Aron wykrzywił w przykrym grymasie wielką, czerwoną twarz.

— Już mi za dużo tego dobrego!

Bo i jakże? nietylko że *ona* sama robi wszystko, co jej się żywnie podoba, to jeszcze na przekłątą tę drogę zamierza pociągnąć i małego Abrahamka. Dopóki chce go ubierać i prowadzić jak panicza, jak dzieci samego starosty, to dobrze... i owszem... niech świat wie, że Arona stać na te zbytki — ale Golda wzbrania się dać go do *chajderu*, powiada, że go sama będzie uczyć... Słychane-ż to rzeczy?! a chłopiec już kończy czwarty rok życia — toż najwyższa dlań pora! Pięknie by go *ona* wykierowała! Stałby się takim niezdarą, jak ona sama, do niczego... Ha, ha! Ona na przykład powiada, że człowiek nie powinien się zawsze interesami zajmować, że w tych interesach trzeba przebierać jak między *koszernem* a *trefnem*, i że taki ot *geszef*, jak wykupno weksli tego dzierzawcy jest *trefny*, nieczysty, niedozwolony... Ha, ha, ha!

Rzucił się niecierpliwie.

— Położę koniec tym *fochom*!

Tak, ale co będzie, jak Golda znowu nań spojrzy wielkimi swemi, czarnymi oczyma, co jak dro-

gie kamienie błyszczą się na białej jej twarzy....
Co będzie gdy znowu płaczem wybuchnie?

Dreszcz go przeszedł zimny. Aby odpędzić straszne te myśli, rozłożył się reb Aron wygodnie na ławeczce i wzrok utopił w kartach swej notatki. Widok cyfr oddziałał nań magicznie; olśniły go one, jak mężczyznę olśniewa kochana kobieta, w której coraz nowe piękności odkrywa i zalety; pochłonęły one całą jego uwagę, wszystkie siły..

* * *

Serce przyspieszonym biło mu tętnem, gdy się zbliżał ku domowi. Nie zdawał sobie z tego sprawy, podwoił kroku i stanął w rynku głównym. Była to godzina południowa; rynek był przepełniony, ulice roiły się przechodniami. Reb Aron wiele znajomych spotkał twarzy, lecz nie zbliżył się do nikogo, tak go coś rwało do domu. Sumienie nagle poczęło mu robić wyrzuty: czemu przez cały czas nieobecności nie pisywał do rodziny....

— Ba — usprawiedliwiał się sam przed sobą.
— Czy ja dwa razy nocowałem w tem samem miejscu? Toż jak ten ptak przelatywałem od miasta do miasta..

Ale co to? I do niego nikt się nie zbliża,

i jemu wszyscy znajomi z drogi ustępują. Ci co w nim zawsze szanowali właściciela dziesięciu tysięcy gotówki, kiwają mu teraz zlekka głowami; ci co go cenili, jako członka przełożenia zboru i towarzystw religijnych, obecnie jakby go nie poznawali; nawet biedacy, którzy dawniej narzucali mu się tak natrętnie z usługami — teraz uchodzą mu z przed oczu. Nikt nie wyciąga doń dłoni, nikt nie wymawia słów sakramentalnego powitania: *szulem alejchem* (pokój z wami).

Reb Aron stoi już przed mieszkaniem, przed piękną swą, nowowytbudowaną kamienicą, będącą chlubą jego i całego rynku. Patrzy — przede drzwiami ogromne zbiegowisko, stoją tam poważni obywatele i obdartusi uliczni, niewiasty z pierwszych domów i dzieciaków czereda. Szmer między nimi i gwar hałaśliwy, spojrzenia ich skierowane do sieni, ich miny i szept — złowróźbne. Zaledwie on się zbliżył, rozstąpili się przed nim, jakby przed rabinem, usunęli się odeń, jak od zapowietrzonego, jak od odstępcy, na którym *chajrem* (klątwa) ciąży. Reb Aron brwi zmarszczył a pierś mu się ścisnęła.

— Co się stało? — wykrztusił, i nie czekając odpowiedzi wpadł do sieni. Drżącemi rękoma szarpnął za drzwi i stanął wśród pokoju jak przygwożdżony, jak słup, a nogi pod nim dygotały.

— Już jej nie ma, niema jej już! — rozległ

się nad jego uchem głos taką boleścią, tylu łzami przesiąkły, że i jemu łzy uderzyły w oczy. Torebka podróżna i parasol wypadły mu z ręki.

— Korono ty złota, gwiazdo moja, szczęście jedyne! — jęczał dalej głos ten, i kobieta, w której Aron z przerażeniem poznał swą teściową, rzucała się na ziemię, zerwała z głowy chustę i targała włosy w dzikiej rozpacz.

Reb Aron postąpił krok naprzód. Zagroziła mu drogę gromadka, mitygująca teściową. Woń szpitalna uderzyła go, oszołomiła.

Starzec w długim chałacie, o siwej, patryarchalnej brodzie, po której duże łzy spływały, stanął przed Aronem. Położył mu na ramieniu rękę, drżącą konwulsyjnie i zdławionym głosem wyszeptał:

— Patrz, oto moje dziecko, to żona twoja!

W Arona piorun uderzył. Przeraził go i zapalił.

— Boże wielki! — krzyknął nienaturalnym głosem i rzucił się naprzód. — Goldo, Goldo moja!

Odrzucił gromadkę krewnych i ciekawych i przewrócił stolik z fiaskami i szklankami. W kącie pokoju, obok łóżka, stał wysokiego wzrostu żyd o pełnej, rumianej, obojętnej twarzy i trzymał w rękę płonąca świecę woskową. Blask jej padał

na twarz leżącej kobiety i oświecał ją ponuro. — Twarz ta, o rysach nadzwyczaj regularnych, szczupła, wynędzniała, śmiertelną bladością i potem obla-
na, była po czoło okryta splotem czarnych włosów, a do szyi — czerwoną kołdrą. Oczy jej były przy-
mknięte, wargi bez kropli krwi, ręce małe, przezroczy-
ste, leżały na kołdrze bezwładnie, a blask pochodni
igrał na tej postaci, jak na wilgotnym marmurze.

Wśród szmeru i przytłumionego łkania, roz-
legającego się wokoło, zabrzmiał suchy, zimny
głos żyda, schylającego się nad chorą z gorejącą
świecą.

— Goldo, Goldo! — powtórzył. — Poleć grze-
szną duszę Bogu. Uczyni pokutę za całe życie,
żałuj występków swych i złości. Odmów *wyde..!*
(spowiedź generalna, którą pobożni odmawiają przed
śmiercią.)

Aron stał jeszcze nieruchomo. Utopił w łożu
oczy, rozpalone, rozszerzone, jakby z orbit wysko-
czyć miały, pochylił się i znów wyprostował. Pazno-
kcie utopił w dłoni, aż krew trysła i ręką przetarł
czoło.

— Ludzie, miejcie Boga w sercu! — prze-
mówił urywanym, ochrypłym głosem. — Co to jest?
co to znaczy?

Świekra, co dotąd spoczywała w objęciach sy-
na, wyrwała się i przyskoczyła doń.

— Co? co? — krzyknęła, jakby rozzłoszczona — Nic, umiera.

Poczem wybuchnęła wstrząsającym lamentem, załamując dłonie.

— Golda moja, źródło mego życia, ten dyament czysty, Golda moja, chwała całej rodziny.. Boże, ojciec niebieski.. ona umiera, a ja żyję jeszcze...

Teść, który miał ręce splecione nad głową, jakby w obawie, by mu nie pękła, dodał cicho, wśród łez, lśniących na jego twarzy:

— Jakes wyjechał, położyła się. Kto wie, jak długo nosiła się z chorobą i ukrywała ją.. Był już profesor ze Lwowa i nie nawet nie zapisał..

— Suchoty-to, suchoty galopujące! — dodał tonem perswazyi brat Goldy, niski, rudy człeczyna, jedyny obecnie spadkobierca ojca

Wielka czerwona twarz Arona stała się siną.

— Ależ to być nie może.. to być nie może — powtórzył kilka razy przytłumionym głosem, łaniając ręce, że palce trzaskały.

— Goldo! — rozległ się znowu stereotypowy, jednostajny głos *szamesa* (posługacza) zbliżającego płonąca pochodnię do chorej. — Poleć grzeszną duszę Bogu. Uczynź pokutę za całe życie..

Z nagłym wybuchem wściekłości przypadł doń Aron. Rzucił świecę o ziemię.

— Precz żebracze plemię! — syknął i padł na łożo.

— To nieprawda! ona żyje, żyć będzie! — wołał rozdzierającym głosem.

Uchwycił wychudłą, alabastrowej białości, kostniejącą jej rękę.

— Goldo, Goldo!

— Nieszczęsny, zarazisz się! — krzyknął brat jej.

— To ty, Aron! — poruszyły się nagle siniejące usta chorej.

Z piersi jego wyrwał się dziki, bezkształtny wykrzyk:

— Żyje!

Bryłowatą, rozpaloną twarz swoją pochylił do szczuplej, wyglądającej jak cudna rzeźba, twarzy czki żony.

— Goldo! — mówił prędko, pieszczotliwie. — To ja jestem, przybyłem.. patrzaj.. obróć oczy.. podnieś głowę.. Goldo!

W izbie grobowa zaległa cisza. Wszyscy na palcach zbliżyli się do łoża.

— Nie widzę już ciebie, Aron; jakby się rzucono mi na oczy — wyszeptala tak cicho, że tylko najbliższej stojący mogli usłyszeć. — Ja umieram.. umieram...

On trząsał się całym ciałem, jak pokrywka nad płynem kipiącym.

— Ty będziesz żyła, Goldo, zobaczysz.. biegam, lecę, zaraz przyjdzie profesor z Wiednia, w bóżnicy odmówią wnet psalmy za ciebie.. wszystkie twe suknie i klejnoty dam na ubogich.. Tylko nie mów tak Goldo, bo zwaryjuję..

Chora zaczęła oddychać pospiesznie.

— Ja umrę niebawem, Aron, i tak będzie lepiej. Byłam przez całe życie ciężarem sobie i wam.. wszystkim.. Do was przywiązana.. duszą rwałam się gdzieindziej.. teraz już ulecę..

Przestała, a matowe jej, szklanne, jakby wprawione oczy, przykryły się powiekami.

— Teraz lepiej — zaczęła za chwilę. — I rodzice nie będą się gryźć, żem zła żydówka, i ty nie będziesz wyrzekać, żem zła gospodyni.. Dobrze mi, dobrze, ale Abrahamek mój słodki!..

Aron nagle się wyprostował, słowa te, zaledwie dosłyszalne, padały nań powoli, jako gwiazdy gorejące, co go okrutnym przygniotły ciężarem i paliły i oświeciły wielkim blaskiem.

— Tak, to wy wszyscy! — rozległ się głos matki, silny, łzami i goryczą drgający. — Wy ją zabili!.. Wy ją wychowali, jak panienkę, a oddali za żonę takiemu kłocowi chusydzkiemu.. To ty ją zabił, coś ją u starego kupił jak towar i chciał

nią orać, jak zwierzęciem, a nigdy jej nie rozumiał, nigdy nie kochał.. tylko jej pieniądze.. Goldo, córko jedyna! — i stara zanosła się od łkania, co jej piersi rozsadało.

Aron stał z suchemi oczyma. Osłupiały, wodził niemi wokoło, jakby ziemię i niebo pytał, co znaczą te ognie, uczucia te szalone, co po raz pierwszy w życiu obecnie w nim zawrzały. Popatrzył na teścia, który obrócony ku ścianie drżał cały w cichem łkaniu; popatrzył na chorą, której ręce białe skubały kołdrę, i oburącz chwycił się za głowę.

— Ależ ludzie! — jęknął — Ja? ja? toż ja życie oddałbym, toż jabym do piekła za nią poszedł.. Ja bydlę.. Jak ja się tak zaciekle upierał, aby ją dostać, tom robił dla pieniędzy? Jak ja czuję, że we mnie wszystko się łamie i rozpada jak w naczyniu rozbitem.. to dla pieniędzy? Ależ ja ją kocham i kochał!..

Jak bezprzytomny padł na kolana, ujął jej rękę i ścisnął w swych dłoniach. Zimno jej przeszło go, jak ostrze miecza.

— Ja nieszczęsny! ja przeklęty! taki skarb, takie szczęście — i po raz pierwszy wybuchnął dzikim, gwałtownym płaczem.

— Ale ona musi być zdrowa.. taka młoda —

jęczał. — Czego stoicie? tu zerwał się na równe nogi. — Gdzie doktor?

— A przez wiele lat wy z niej żywcem pasy darli! mruknął brat.

Chora nagle się poruszyła — nie miała jednak sił, by się obrócić. Na twarzy jej zajaśniał blask jakiś, tak, że martwy marmur uśmiechnął się promieniem życia.

— To ty Aron mię kochał? — wyrzekła.

On, bez upamiętania bijąc głową o łożo, powtarzał:

— Ja przewrotny.. przekłety.. taki skarb.. co ja tracę, Boże, co ja tracę!

— Powiedz Aron, niech choć raz usłyszę.. póki żyję.. kochasz?

— Kocham cię Goldo, kocham! jak Boga, jak Mesyasa cię kocham.. i znowu wstrząsającym ryknął płaczem. — Bo oszaleję!..

— Aron — ozwała się chora — schyl się do mnie. Oczy me jak zamurowane.. ustami trudno poruszyć, jak cetnarem.. alem szczęśliwa.. I dawniej kochałeś.. prawda? wiem, wiem, tylko że.. ty człowiek z innego świata a mnie tak gorzko nieraz i ciężko.. Aron.. zaraz, prędko przyprowadź Abrahamka..

Brat jej zerwał się. Wydalił z izby wszystkich obcych i przez chwilę słychać było tylko ciche

szmery dławionego łkania. Wrócił i na rękach przyniósł czteroletniego chłopczyka, ubranego w niebieską marynarkę i czerwone pończoszki. Rumiana jego twarzyczka uśmiechnęła się do ojca.

— Tato, tato przyjechał — zawołał. — A ciastki są? Czemu płaczesz? gdzie mama, mamozłota!

Chora robiła ostatnie wysilenie. Szamotała się, pasowała ze śmiercią, twarz i ręce jej drżały konwulsyjnie z natężenia, a wargi poruszały się zwolna.

— Nie mogę — szepnęła. — Dziecko moje słodkie! Aron, połóż me ręce na jego główce.. Dobrze tak.. Och, takbym cię choć raz chciała zobaczyć, dziecko drogie.. Aron, prawda, że go teraz nie oddasz do *chajderu*?

— Prawda, Goldo, abyś ty tylko żyła..

— Prawda, że go potem pošlesz do szkoły..

— Tak, Goldo, tak..

— Przysięgnij mi..

— Przysięgam, jak cię kocham..!

Jasność wypogodzonej duszy oblała twarz chorej. Z ust lekkie wydała tchnienie, z którem uleciało życie.

* * *

W cztery godziny później wracali wszyscy z pogrzebu Goldy. Arona, tego herkulesowej budo-

wy niespełna trzydziestoletniego mężczyznę, musieli dwaj przyjaciele prowadzić pod ramię. Nic nie mówił, przystawał co chwilę, a wówczas oni czuli, jak drży, niby kłos na polu. Twarz jego nabrzmiała była i sina.

W pokoju, gdzie Golda zgasła, posprzątano i wykadzono. Nad łóżkiem jej tlił knot w oliwie. Dwa wielkie zwierciadła były zwrócone taflami ku ścianie. W kącie obok pieca rozłożono worek, na którym w pończochach usiadł Aron. Ręce oparł na kolanach i złożył w nich zboląłą, pękającą głowę. Kwadransy tak upłynęły, godziny długie. Nad wieczorem zeszło się kilkunastu znajomych i pobożnych na modlitwę. I wówczas nie zmienił on pozycji. Teść musiał go strofować.

— Czemu się nie modlisz?

Podniósł się Aron, zwrócił twarzą ku ścianie wschodniej i machinalnie jął recytować słowa modlitwy. Lecz gdy przyszedł do słów: „Bądź pochwalon, o Boże, który wskrzeszasz zmarłych“ zachwiał się na nogach i z cichym łkaniem wymówił kilka razy: „Boże wielki! Czemu to, czemu? Zapóźno dałeś mi rozum, zapóźno..“

Ludzie się rozeszli, ciemna noc zapadła. On wraz z teściem pozostał w pokoju.

— Co, Aron? spisz? — pytał stary kilkakro-

tnie, miotając się na sofie. Nie otrzymał odpowiedzi.

— Spi tak spokojnie — powiedział sobie ojciec Goldy i zapłakał boleśnie. Och, gdyby go Bóg teraz znowu pobłogosławił takim dzieckiem!.. Cóż, to-ż dziś takie czasy, że się wszystkim dzieciom daje wychowanie modne.. zwłaszcza dziewczętom.. Jakże-ż on się mógł spodziewać.. Czyż on gorszy od ojca swojego i dziada?.. Nie! robił tak, jak mu dyktowało sumienie. Nie pragnął-żeż szczęścia swego dziecka? a przecież — słaby płomyczek knota, tlejącego obecnie nad łóżkiem zgasłej, wydał się starymu *chusydowi* odblaskiem ogni piekieł. Zadrzał — pot go oblał zimny.

— Spisz Aron? — powtórzył.

Aron się nie odezwał. Leżał z rozwartymi oczyma, z rękoma splecionymi nad głową. W głowie tej dziwny wrzał ruch teraz. Łamały się podstawy i podpory dawnej jego istoty; ruiny zasypały i druzgotały wszystkie jego uczucia i wierzenia. A na ruinach tych stanął nagle ptak czarny, z krzywymi, ostremi szponami, i zaczął krakać przeraźliwie.. Aron go zrozumiał i przeląkł się śmiertelnie. Potem ptak się zerwał, przyskoczył i już, już chciał swe szpony utopić w jego oczach, w sercu jego..

Wówczas, z płomyczka świecącego nad łóżem

zmarłej, wyszły promienie liczne, jasne, przeczyste.. związały się w jedno wspaniałe słońce, które zabłysło nad Aronem, a wpośród niego, otoczona blaskami, pełna majestatu anielskiego i słodczy ludzkiej, stała Golda.. Ruchem ręki odpędziła czarnego ptaka i z wysokości zstąpiła ku drżącemu Aronowi. I zaczęła doń mówić.. długo — cudnie.. o miłości.. o miłości ludzi.. Przemawiała bardzo długo..

Nazajutrz Aron wstał wczesnie. Twarz miał bladą, wyszlachetnioną wyrazem cichego smutku i bolesnej zadumy. Zażądał zaraz przyborów do pisania.

Teś się oburzył.

— Nie wolno! — krzyczał. — Siedzisz *szywe* (siedm dni na pokucie) i już znowu interesa.. Taki ty!.

Aron na to nie zważał. Z pośpiechem, jakby nie chcąc przewlec dobrego uczynku, napisał koszlawemi, dużemi literami list do właściciela sąsiedniego folwarku, by sobie gospodarował spokojnie i za dwa tygodnie przyjechał umówić się, w jakich ratach będzie mu mógł spłacić swe długi. Potem wezwał małego Abrahamka. Tulił go w objęciach, patrzył mu w oczy.

— To *jej* oczy, — zauważył dzisiaj po raz

pierwszy i przylgnął do nich gorącym pocałunkiem.

Ludzie tymczasem zeszli się na modlitwę poranną, szeptaając między sobą o nieboszczce.

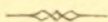
— Czy to prawda — zapytał jeden po cichu — że Aron odtrącił naszego *szamesa* (posługacza świątyni) i nie pozwolił, by konająca odmówiła *wyde*?

Reb Aron to usłyszał. Zbliżył się i wyrzekł łagodnie:

— Ona pokutować miała? Zaco? toż już za życia była świętą, aniołem — ta męczennica.



Za ANIOŁEM STRÓŻEM.





⚡
Ziemia okryła się ogromną, śniegową oponą o skrzącej się białości, wiatr huczy i wyje posępnie pędząc przed sobą ciemne tumany, a mróz ściska w lodowatych kleszczach wioskę całą. Epoka-to karnawału i nędzy, największej liczby wesel i śmierci głodowych.

Pięcioletni Józko siedzi już od dwóch miesięcy zamknięty w chałupie, bo nie dla chamskiego syna futra i kamasze. Jemu nie mogą rodzice marnej pary butów ni ciepłego przyodziewku sprawić; od pierwszego więc śniegu nie wystawił nosa za próg domostwa.

A tu tak źle — tak smutno!

W poszarpanych spodenkach, bosemi stopami biega malec po izdebce, jak ptak po klatce; nie szczebioce jednak, nie figluje, jak dawniej, na wolności. Dawniej — ha! Jak ryba pluskał się w rzeźculce, jak kulka toczył się po całej wiosce, mały, pulchny, swywolny. Teraz schudł Józko, zmizerniał

nieborak, oczy mu się zamgliły, wesołe, swobodne krzyki zamieniły się w bledniejących jego ustach w posępne jakieś mruki, miasto płać psie figle jak dawniej, siedzi obecnie całymi dniami za piecem i w zadumie ssie palce. Nieraz staje na ławce obok okna i dostrzega Baškę i Antka, jak ze śniegu wspaniałe lepią bałwany, jak zgrabnie, wesoło, rozkosznie suną saneczkami po śniegu.

Łzami wówczas zachodzą mu oczy, a serce się żali:

— Czemu oni mogą, a ja nie!

Tam znowu stada wróbli tańczą ochoczo, tu pies podwórzowy biega swobodnie, tylko on jeden zamknięty — taki biedny, taki nieszczęsny.

Starzy pracują dzień cały na Leśniczówce, siostra robi w domu porządki, gotuje strawę, którą następnie w dwojaczkach nosi rodzicom, we wolnej zaś chwili odchodzi do sąsiedztwa, a malca na klucz zamyka.

— Ligaj sy spokojnie! — przykazuje — aż ja przyńdę.

W pierwszych dniach gorzkiej niewoli, w pustej i zimnej chałupie, wybuchał Józko gorącym płaczem, miotał się na ziemi, przyczepiony do spodnicy matczynej skomlał, wił się.. Nie pomogły nań łajania ni kułaki.

— Matus, matulu najmilejsza! wołał rozpaczliwie.

— Ja się boję..

— A ty, maszkaro, czego się boisz po próżnicy? zawołała raz matka. — Przecik anioł-stróż jest nad tobą.

Słowa te, wyrzeczone w prostocie ducha, czy wskutek dyplomatycznego wyrachowania, uspokoiły Jóźka znacznie.

Nie krzyczał już, nie płakał. Spoczywa na tapczanie obok pieca, siostra rzuca nań starą ojca oponę a do ręki daje kilka upieczonych kartofli. Wysysając je leży chłopak na wznak z rękoma splecionymi i w głębokiej pogrążony kontemplacji.

— Maryś! woła z zadumy. — A kto to je ten anioł-stróż?

Ona odpowiada łagodnie, pouczająco. I matuś wieczorem ślicznie mówi, jako każdy człowiek ma swego anioła, który nad nim czuwa z wysoka, strzeże go i broni, a czasami schodzi też na ziemię. Biały on, jasny i czysty, jak słońko, ubrany w błękit i złoto, a na skrzydłach unosi się nad tymi, co grzeczni są i dobrzy.

Z roziskrzonymi oczyma patrzy chłopię w twarz opowiadającej. Olśnionym wzrokiem, rozgorączkowaną wyobraźnią podąża w tym kierunku, i tak w długich godzinach samotnych rozmyślań wytworzył so-

bie obraz cudny i oblał go wszystkimi promieniami tęsknącej, wybujałej swej duszy.

Nie czuł się już opuszczonym, głód i chłód już mu tak bardzo nie dolegały. Był przecież pod skrzydłami opiekuńczemi anioła-stróża.

Mimo to bieda i cierpienia nie przestawały trapić Józka. Dusił on się między czterema ścianami, bez ruchu, bez powietrza. Dzika go czasem napadała chętka i rwał się by skakać, biegać, koziołki wywracać — lecz nogi mu z zimna rychło kostniały a ciało krzepło. To znowu wołał do siostry: jeść, Maryś, jeść chcę! a ona tylko kartoflą mogła mu usta zatykać. Płakał Józko w takich chwilach, gorzko płakał i raz zapytał: A mój anioł gdzie?

Wieczorem izba się ożywiała. Przy słabem świetle „skałki“ z drzewa sosnowego, lub przy łuczywie kopcącym siedziała matula z igłą lub kądzielą w ręku a z skargą i jękiem na ustach. Później wpadali tatuś prosto z karczmiska, z krzykiem i łoskotem. Rzucał miską o podłogę, żonę „przetracał“, że padała jak nieżywa, a płaczącego mu się pod nogami z głośnym płaczem Józka kopał i deptał.

— A mój anioł gdzie? myślał wówczas chłopczyna

— Maryś! wołał niezliczone razy. — Musi ty już go widziała?

Natarczywość ta zniecierpliwiała siostrę.

— Pomiejszałość ci się we łbie, maszkaro utrapiona! ofuknęła go gniewnie.

Odprawiony przez siostrę, udał się Józko do matki i szarpał ją za rękaw:

— Opowiadajta-że matuś!

— Robacku mój miły! wołała ona w rozczuleniu. — Ano słuchaj. Był sobi raz taki bidny gospodarz. Pojechał se do lasa..

Józko silniej ją targnął.

— Nie to, matuś, nie to!

— Cóż ino? Zawždy to samo? Słuchaj. Jedyn król miał trzech synów..

Tu jeszcze niecierpliwsze szarpnięcie.

— Nie chcem, matuś, nie to!

— Tylko? o zaklętym królewicu? o żołmirzach?

Nie mogąc zaspokoić ciekawości jego co do anioła-stróża, rozgniewała się matka na końcu.

— Ty bąku zatracony! wołała. — Cięgiem chciałbyś to samo.. Spać lepiej.

Ze spuszczoną główką i gorącym sercem klękał wtedy malec na gołej ziemi, składał ręce i z przejęciem się jął odmawiać:

— Aniele stróżu mój — Wiecznie przy mnie stój — Jak we dnie tak i w nocy — Bądź mi ku pomocy..

Potem kładł się, najczęściej na ziemi, gdzie

kilka wieprzaków, jedyny dobytek biednej rodziny, miało w zimie stałe swoje legowisko. Czasem dusiło go tam coś i bodło niemiłosiernie, tak że nie mógł oddychać, i bezwładny, jak z ciężkiego więzienia na tortury wzięty, z bólem w sercu i zamętem w głowie, rozmyślał o swej biedzie.

— Muszę kiedyś zobaczyć mego anioła-stróża! postanowił raz, gdy dotychczasowe westchnienia i prośby modlitewne do niebiańskiego opiekuna nie ulżyły gorzkiej jego niedoli.

— Muszę go widzieć.

Powziąwszy taki zamiar, pieścił się nim ma-
lec, rozkoszował, jak kluczem, mającym otworzyć
wrota raj. I lepiej wyciągał się na mierzwie, któ-
ra ogrzana, stawała się miękką i ciepłą; przytulał
się do swych towarzyszy - prosiątek, co go mile grzały
i głaskały, i wśród ich pomruków i kwików, wśród
piekielnej wrzawy pijanego ojca, lub głębokiego
chrapania całej rodziny, zasypiał niespokojnie, wi-
dząc nad sobą białą, skrzydlatą postać, z różyczką
w ręku i miłością w oku.

* * *

Ciepłym oddechem owionęła wiosna ziemię ca-
łą, blaskami ją opromieniła, zalała świeżością
i wonią. Józko opuścił teraz leże zimowe i przeniósł

się do ogromnego, przestronnego mieszkania, gdzie światła i powietrza jest podostatkiem i swobody i rozkoszy — pod gołe niebo. Naprzód w sieni, potem na podwórzu, nakoniec na szerokim gościńcu, w miarę odwilży i ustalenia się pogody, dreptał jak kaczka, rozszerzając szeroko źrenice, pakując ze zdziwienia dłoń całą do ust. Długie odosobnienie atoli i życie w sobie zamknięte wywarło swój skutek: zatarło i pomięszało mu w pamięci widoki i wrażenia przeszłości, i rzuciło mgłę na oczy i bezsilność na ciało, tak że chodził, „nikiej tuman“ senny, milczący, apatyczny. Zaczął żyć wyłącznie ze swemi marzeniami.

Odnowił znajomość ze zeszłoroczną kompanią, składającą się z dzieci sąsiedzkich. Rej tam wodził Antek Bartkowy i Baśka. Dawniej hulał Józko wraz z nimi, hulał! aż się kurzyło, był hersztem i mistrzem, a teraz stał się niezdarą, „niemrawcem“. Kiedy cała gromada dzieciaków, z ogromnym piskiem i rejwachem goniła gęsi lub budowała pałace; kiedy wszystkie oddawały się z całego serca wesołym figlom i psotom i zabawom — on, w zgrzebnej koszulinie i postrzępionych spodenkach siedzi na uboczu, a na bladej jego twarzy zaduma, w niebieskich oczach tęsknota jakaś i żalność osiadła. Towarzystwo całe poznało, że się w Józku zmieniła natura, posługują się też nim wszysecy, po-

szturkują, łają, a on nie bierze udziału w sejmikach i czynnościach ogólnych.

Antek i Baśka siedzą teraz na murawie i bawią się w najlepsze. Ona przynosi chrząszcze i żuczki, on wbija je na ciernie, i ku największemu zachwytowi przyjaciółki fabrykuje toczący się wózek. Józka za serce ścisnęło.

— Taki ony bidny.. szepnął do oprawcy.

Na ten sentymentalizm Antek nie zwrócił uwagi nawet, a Baśka na widok drgawek śmiertelnych i tortur zwierzątek wzdrygnęła się i zasłoniła sobie oczy, ale za chwilę przyniosła świeże i sama spróbowała na pal je wbijać.

Józko siedział z pomarszczonem czołem, głęboko zamyślony.

— Antek! odzywa się nagle. — A czy zwierzątka mają anioła-stróża?

Zapytany, nie wyrzekłszy ani słowa spojrział okiem, które dobitnie zdawało się mówić: oj, ty ośle! Toż one duszy nie mają! a Baśka głośnym wybuchała śmiechem:

— Capisko jakiś! wyrzekła miasto odpowiedzi, wydymając usta z głęboką ironią, jakby w salonie rzuciła druzgoczące słowo: idealisto!

Józko od nich się oddalił.

Przyszedł do chałupy.

— Maryś, jeść! zawołał.

— A skądże-ci wezmę, raku jakiś! krzyknęła siostra, na której barkach całe gospodarstwo ciążyło.

— Ale ja głodny! rozplakał się chłopczyna, niewiedzący jeszcze co to przednowek u chłopskiego wyrobnika.

Rozzłoszczona wskutek trosk i biedy Maryś poczęstowała braciszka potężnym szturchańcem. Malec uciekł na podwórze. Chłodny wiatr owiał go zimnem, cierń i pokrzywa zraniły mu bose nożyny. A w sercu pełno łez i marzeń. Rozbijały się one, uskrzydliły i podszeptnęły Józkowi śmiałe przedsięwzięcie. .

Chłopczyna puścił się w świat — w pogoni za aniołem-stróżem. .

* * *

Piękny dzionek wiosenny rozlewał pogodę i wesele; słońce uśmiechało się do ziemi, a ziemia podniosła się ku niemu tysiącem kwiatów i rąk tysiącem, w podzięcie za życie, za piękno, które ono wszędzie roznieca. Na wsi cisza i spokój, bo ludzie przy robocie. Środkiem gościńca maszeruje Józko. Kamienie przydrożne szarpia mu stopy, gzy i muchy obsiadają twarz jego, wiatr rozwiewa mu długi, poplątany, lniany włos przez ogromne dziu-

ry dostaje się do ciała i smaga je.. Chłopię na nic nie zważając posuwa się naprzód, czystemi, lazurowymi oczyma przebiega cały widnokrąg, tonie w błękitach, które tak wspaniale nad nim się rozścieliły.

Nic jednak.

Chłopczyną uszedł ogromny kawał drogi, jest już na skraju wioski. Naraz wzrok jego pada na pagórek. Na nim mały piękny domeczek, o ślicznie malowanych ścianach i czerwonym dachu. Józko zbliża się, patrzy. Drzwi tam nie ma, w środku od sufitu zwiesza się lampka, w której różowy płonie ognek, a tuż przy ścianie.. joj! postać cudowna! Dokoła jej głowy — promienie złote; na twarzy — uśmiech taki słodki, taki dobry.. płaszcz jej błękitny jako niebo — a cały wysadzany złotymi gwiazdami, ręka zaś ruchem majestatycznym podniesiona w górę, do błogosławieństwa..

Józko przyrósł do ziemi. Gwałtowne wzruszenie zatamowało mu oddech.

— Anioł-Stróż..

Utopił w niego oczy, a dreszcz go przebiegł..

— Zara zejdzie..

Postać z niezmiennym wyrazem świętości i majestatu jaśnieje w promieniach słonecznych, ale nie schodzi.

— Aniele-strózu mój... zaczął chłopczyną

drżącemi usty i złożył ręczki. Serce jego wezbrało głęboką miłością i wiarą, na usta cisnęły się błagalne słowa, by anioł raczył złożyć nań rękę i odjąć tę biedę i te plagi, co tak go dręczą..

Postać cudowna nie porusza się, nie przemawia wcale.

Józko się przeląkł. Ta nieruchomość, ta skamieniała słodycz przeraziła go.

Wtem uczuł silne szarpnięcie za ramię, i zdziwiony, ostry głos matuli zabrzmiał:

— A ty co robisz w kaplicy?

— Ja — szepnął — tu do anioła-stróża..

— Dyć to Matka Boska namalowana! zawołała matka zgorziona. — A to z ciebie capisko! No, przeżegnaj się i pójdziewa.

Józkowi ręka jakby zdrętwiała, nie mogła się podnieść, by zrobić znak krzyża.

* * *

Józko posmutniał. Twarzyczka jego zmizerniała jeszcze bardziej, straciła kolory, główka pochyliła się na piersi. Siedział nieraz „na kuczkach“, całemi godzinami nieruchomo, od czasu do czasu pomrukując coś niezrozumiale, to znowu kręcił się nie-

spokojnie w domu, wałęsał się po wszystkich zakątkach i drogach.

Nikt tego nie zauważył, nikogo to nie obchodziło. Starzy pracowali teraz z natężeniem wszystkich sił, by odpędzić głód, czyhający na ich zgubę, ojciec ze zgryzoty jeszcze częściej się wściekał, matka i siostra w usposobieniu rozpaczliwem jeszcze bardziej jedynaka zaniedbywały, i on zgłodniały, zgnębiony palił się duszą, rwał się, wzdychał do anioła, który miał rószczką czarodziejską wszelkie zło odeń zażegnać.

— Prawdziwe z ciebie capisko! wołali na Józka Baśka i Antek. — Tylko mórda ogonem i głową kiwa.

Oni — to całkiem co innego. Używają świata że aż strach! Chodzą do lasu, zbierają poziomki czerwone, słodkie.

Raz pociągnęli Józka na cmentarz.

— Takie to dobre, zobaczysz. Tam teraz najwięcej..

On poszedł, a na drodze wtajemniczali go w swoje sztuczki, nakazali, aby zaraz uciekł, jeśli tylko jegomość nadejdzie. Antek był starszy od Józka i większą miał praktykę za sobą, wiedział też, że na cmentarzu tylko jegomościene kozy paść się mogą, a innym — wara!

Z podziwem i ze znakiem zapytania w oczach

patrzył Józko na mogiły i krzyże, wśród których między trawami i zielskami, gęsto ukazywały się purpurowe poziomek główki.

— Jedz Józku! zachęcali towarzysze poszturkując go łokciami. Sami opychali się, młaskając głośno, jak smakosze wytrawni.

Wtem z pomiędzy grobowców i krzyżów wyszła postać wspaniała. Głowa jej okolona siwemi włosami, twarz biała, uroczysta, pełna łagodności i dobroci. Biała komża i ornat złotem wyszyty nadały tej postaci blask i urok cudowny, a za nią ukazało się z jakiegoś pogrzebu kilku ludzi, stanęli z czecią i pokorą, i rękę jej do ust przyciskali. Ona uśmiechała się dobrotliwie, przemawiała przyjaźnie.

Oczy Józka zaczęły się iskrzeć.

— Anioł-stróż! wyszepnął, zadrżawszy całym ciałkiem. Nie zwrócił uwagi na towarzyszy, którzy z pośpiechem uciekali, nie wiedział, jak długo tak stoi. Serce biło mu młotem, usta zwolna się poruszyły:

— Przecik raz. .

Nagle postać owa podeszła ku niemu.

Jemu kolana zadygotały, w oczach pociemniało, jak człowiekowi, stojącemu u progu wielkiego, niespodziewanego szczęścia:

— To ty, urwiszu jeden, zbierasz poziomki? rozległ się głos surowy, groźny.

— Pamiętaj, hultaju, że jak cię raz jeszcze znajdę, to..

Tu uczuł Józko gwałtowne szarpnięcie za uszy i czuprynę. Słów reszty nie dosłyszał, taki zamęt powstał w jego głowie. Gdy przetarł kuliakiem oczy, jakby dla przekonania się, czy nie śni, nikogo już obok siebie nie widział. Serce mu się ścisnęło, że oddychać nie mógł, a uszy dotkliwie bolały.

Głośnem tedy wybuchnął łkaniem:

— To nie był *on*..!

* * *

Jeszcze przed kilku miesiącami skończył był Józko piąty rok życia, a teraz osądziła matka, że już czas, by się zajął uczeiwą jakąś pracą, bo to doprawdy wstyd przed ludźmi i obraza boska, że taki berbeć wciąż próżnuje.

Józkowi oddano więc naczelną komendę nad stadem gęsi.

Zasmakowawszy w samotnych rozmyślaniach i wędrówkach, wiedząc jak inni towarzysze żyją swobodnie i przyjemnie, uczuł się malec obecnie bardzo biednym. Związano go z gęśmi, jakby nicią, tak że niechby jedna się oddaliła, pociągała i je-

go za sobą. A on leżał na murawie, trawiony niewymowną tęsknotą i boleścią wskutek doznanych zawodów, co chwila jednak musiał przywracać porządek w swoich szykach, lub gonić uciekinierów. Gryzł chleb wyniesiony z domu, ale głodu całkowicie nie zaspakajał; męczył się i dręczył przy spełnianiu żmudnych obowiązków, mimo to brał baty, a duszą wciąż rwał się gdzieindziej.. do swego ideału. Cera jego twarzyczki stawała się podobną do popiołu, a oczy — do drżących, zaémionych ogników.

— Rety.. dumał z żalósnem westchnieniem.
— Kiedyż się mój anioł-stróż zlituje..

Skwarne lato paliło go swemi promieniami, a on patrzył w błękity: a nuż *on* spłynie.. Niedaleki lasek okrył się zielenią i kwieciem, on spoglądał tam z utęsknieniem: może się ukaże..

Udręczony, rozgorączkowany puścił się Józko raz jeszcze w wędrówkę.

Posuwał się powoli, z główką spuszczoną i rękoma zwieszonemi, jak zwiędłe łodygi. Na skraju wioski dostrzegł drożynę piękną, białym piaskiem wysypaną, prowadzącą do wysokich, ślicznych sztachetów, jakich jeszcze nigdy nie widział.

Poszedł malec tą ścieżką prosto przed się, przestąpił furtkę ogrodową i nagle stanął olśniony.

Tuż przed nim — nibyto łąka, co leży za młynem, a przecież nie łąka. Drzewa obsypane

białym puchem, domek, podobny do kaplicy, opleciony zielenią i kwiatami, grządki niby malowanki — to wszystko tak cudnie pięknie przedstawiało się jego oczom, tak uroczo, że roztworzył źrenice i usta szeroko i pomyślał: Czy to pałac, gdzie królewna zaczarowana? czy tu raj ten, o którym matuś mówiła?

Naraz głos jakiś donośny, z dźwięcznym, wesółym śmiechem połączony, przerwał spokój i ciszę.

Malec tam się posunął. Uszedł kilka kroków i raptem przystanął. Szarawa twarz jego oblała się rumieńcem.

Na trawniku, wpośród kwiatów, siedział chłopczyzna, ubrany tak, że się odeń błyszczało i obracał w rękach konika, co to wyglądał jak żywy, jeno że mniejszy. A obok tego chłopczyka — tuż obok..

Przecudne zjawisko! Smukła, wspaniała postać, cała w bieli, stała wsparta o drzewo i z głową pochyloną patrzyła na bawiące się dziecko z takim uśmiechem i takim okiem, że Józkowi serce tajało. Stała wśród blasków i woni, różowa, promienna, z twarzą cudnie rozjaśnioną, w ręku różyczkę trzymała czarodziejską, z ramion rozwiewał jej wiatr skrzydła białe.. Stała pełna anielskości i słodyczy i miłośnie złożyła rękę na główkę chłopczyzny.

Bez tchu, tamując oddech patrzył w nią Józko.

— Ach! to senne jego widziadło — na jawie! O Boże — to on!

W zachwycie, w upojeniu malec stracił przytomność. Chwiejąc się z silnego wzruszenia postąpił naprzód. Brodził przez grządki, łamał kwiaty, a przysunawszy się blisko ukląkł w ekstazie najwyższej, złożył rączki i jął mówić:

— Aniele Stróżu mój..

Anioł się odwrócił. Dostrzegł dziecko chłopskie, którego włosy rozczochrane pełne były trawy i mierzwy, któremu twarz zamurdzana, koścista, pałająca, oczy zamglone, i poszarpane, brudne strzępy ubioru nadawały wyraz brzydoty i dzikości. A ręce jego złożone, a minka pobożna wskazują przecie najlepiej, że to żebrak. I takie stworzenie tyle spustoszenia tu sprawiło!

Postać owa zrobiła ruch gwałtowny a twarz jej poczerwieniała.

— Hej, jest tam kto? krzyknęła.

Z pałacu wypadło dwóch ludzi. Jeden był lokajem, drugi nauczycielem domowym.

— Aż tu zalażło to tałajstwo! zawołała niezmiernie zirytowana. — Co tu szkody, co zniszczenia.. Tak wy pilnujecie!?

Oślupiałego z przerażenia Józka porwał lokaj i prawie w powietrzu uniosłszy za furtkę, rzucił na ziemię i w złości kopnął nogą.

Krzyk przesywający z piersi niespełna sześciolatniego Don-Kiszota, zranionego na ciele czy na duszy, rozległ się w powietrzu. Nauczyciel doń przyskoczył.

Podniósł chłopca, przemówił doń łagodnie, serdecznie, wypytał szczegółowo o dzieje pogoni za marą i wyrzekł do siebie z gorzkim uśmiechem:

— On we dworze szuka anioła stróża.. Ha, ha, ha! we dworze!..

* * *

Poturbowany, osowiały, zbiedzony zawlókł się Józko na pastwisko. Położył się na trawie a łzy spływały po jego twarzyczce. Płakał długo, konwulsyjnie, a jednak mu nie ulżyło. Ciężka zmora tłoczyła jego serce, dławiała go boleśnie.

Obudziła go matka, którą zadziwiło, że mimo spóźnionej pory nie wraca do domu.

Ku największemu swemu przerażeniu dostrzegła ona, iż kilka gęsi zaginęło.

Rozpacz ogarnęła te nędzarkę. Zwaliła chłopca na ziemię i niemiłosiernie zaczęła okładać.

— A ty taki, ty owaki..

— Matusz najmilejsza! wołał on, zanosząc się od płaczu. — Ja myślał co anioł-stróż czuwa..

Kobieta w jeszcze większą wpadła pasyę, i targając go za włosy, grzmocąc pięściami wołała:

— A ty od czego masz oczy? a ty na co masz ręce? Sam nie masz rozumu?

* * *

Doznane zawody i bole odchorował Józko obłożnie. Ozdrowiawszy, zmienił się całkowicie. Pomny gorzkiego doświadczenia spuszczał się już zawsze na własne oczy, na własne ręce, kierował się li własnym rozumem i nigdy nigdzie nie szukał już aniołów-stróżów...

.



IDYLLA.



•
Długa, obcisła, czarno-jedwabna bekieszka uwydatniała doskonale postać jego, wąską w pasie, smukłą i zgrabną. Kapelusz aksamitny i czarne, krucze loczki nad uszyna ujmowały jakby w ramki hebanowe twarzyczkę wpółdziejącą, różową i białą o ciemnych oczach i małych, purpurowych ustach, nad którymi zaledwie mech się ukazywał. Mówił głosem cichym i miękkim, na obcych spoglądał nieśmiało, na swoich figlarnie, wesoło; a ręka, którą czasem podnosił dla podkreślenia loczków była drobna, kształtna, biała, jak u kobiety.

I on ma się dzisiaj żenić.

Naturalnie — toż skończył już siedemnasty rok życia! Skąpał się zatem w basenie rytualnym, pości od samego poranka, a obecnie świętecznie wystrojony, wymuskany, zakłada poraz pierwszy na głowę szabasową czapkę, oblamowaną ogonkami kuny. Staje przed zwierciadłem, twarz przeciąga mu się w komicznem zdumieniu, roztwiera oczy

i usta szeroko i nagle wybucha niepowstrzymanym, hucznym śmiechem.

— Ha, ha, ha! Jakie to śmieszne! jak ja zabawnie wyglądam!

Wuj, długi jak tyka, z brodą, sterczącą jak miotełka, zmarszczył brwi surowo.

— Naftali, kiedy się już pozbędziesz tych dzieciństw? Dzień dzisiaj święty...

Młodzieniec ściąga usta, kręcąc głową, niby rozgrymaszona dziewczynka, i kończąc toaletę przetrzuca w rękę z upodobaniem śliczny łańcuszek złotego zegarka z błyszczącymi kamieniami, który dzisiaj dostał.

— A przecież to niezła rzecz, wesele! — myśli przytem. — Tyle tych prezentów będzie, tyle ciast upiekli... Tylko że teraz każą pościć...

Miał z początku ogromną ochotę ukraść kawał piernika, tego miodowego z konfiturami i migdałami, ale w czas przypomniał sobie, że to grzech i że mama się dowie...

— Ale to nie uciecze! medytuje dalej. — A przytem inne osiągnięte korzyści niezliczone. Najważniejsza — że nie będzie więcej uczył się z *mełamedem*.. Wczoraj trzeba było jeszcze siedzieć z wyschłym, zatabaczonym, nieznośnym tym starcem, i kiedy na dworze tak ślicznie, kiedy wszyscy bawią się, spacerują, musi on ślęczeć nad pismami

świętami.. No, to konieczne, to niezbędne dla człowieka, co chce z czasem zostać rabinem.. ale przecież za dużo już tego.. Jutro zaś będzie sobie sam panem.. sam panem! Dobra-to rzecz, wesele!

Dumania te przerwała gromada *chusydów*, rozochoconych trunkami, w szabasówkach na bakier, którzy hałaśliwie wpadli do pokoju i wśród dzikich, niesfornych gratulacyj i śpiewów pociągnęli pana młodego za sobą.

* * *

Nazajutrz w południe siedział on w swej alkowie przy stole. Na sofie obok niego młodziuchna dziewczeczka, może piętnastoletnia, o twarzy krągłej, smagławej, na której paliły się oczy jak węgle i drżały wilgotne, zmysłowe usta. Piersi jej falowały szybko, gorączkowo.

Zostali sami.

On z apetytem zajadał resztki leguminy, potem podniósł oczy i spotkał się z przeciągłym wejrzeniem tej, której wczoraj o tym czasie prawie nie znał, a która od dzisiaj dozgonną jego jest towarzyszką. Nagle przebiegły go dreszcze. Niewiedząc z jakiej przyczyny stracił swobodę, nadzwyczajne zakłopotanie go opanowało. Zapłoniony utkwiał

oczy w obrus. Ona patrzyła nań z ukosa, a oczy jej coraz ciemniejszym lśniły się blaskiem.

Zbliżyła się i położyła mu rękę na ramieniu. Na pierwszy ten krok nie byłby on nigdy się odważył, ale jeśli ona sama.. Śmieiej spojrział w twarz jej śliczną — tą rasową pięknnością semicką i ujął rękę jej w swoje dłonie.

— Tyś moja żona.. wymówił.

Teraz ona spuściła oczy.

— Jaka ty piękna! szepnął on za chwilę przytłumionym głosem.

Uśmiechnęła się zalotnie.

— I tyś taki ładny, Naftali.

Usadowił ją obok siebie. Przez chwil kilka spoglądali na się w milczeniu, zarumienieni, drżący oboje.

— Więc ty moją żoną! wyrzekł powtórnie odetchnąwszy głęboko.

Ona skrzywiła usteczka z lekkim grymasem.

— Tak, tak, ale myślisz, że ja chciała? rzece, kręcąc główką.

— Jakto? zawołał przestraszony.

— No, przez ciebie ucięli mi włosy.. Takie pyszne miałam warkocze, takie długie! Jak je rozpuszczałam, okrywały mię całą, niby zasłoną jedwabną..

Mówiąc to miała łzy w oczach.

I on roztkliwił się dziwnie.

— Szkoda! — szepnął ze współczuciem.

— A teraz włożyli mi na głowę tę oto szkaradną peruczkę! wybuchła bliska płaczu.

Zmartwienie żonki przejęło Naftalego silnym bolem.

— Ale tyś i w niej taka piękna..! wyrzekł, aby raczej siebie, niż ją pocieszyć.

Łzy jej znikły, twarz wypogodziła się w uśmiechu, w którym ukazała szereg białych ząbków.

— Wiesz — rzecze pieszczotliwie, przeciągając wyrazy, jak zepsute dziecko. — Raz cię tylko widziałam.. pamiętasz?

— Miałem wówczas lat piętnaście..

— A przecież dobrze cię znam.. Stałeś mi ciągle przed oczyma, ukazywałeś mi się we śnie.. cudownie! Mówiłeś głosem, co jak słodki śpiew dźwięczał mi w uszach.. mówiłeś..

Naftali patrzył, słuchał jej szczebiotu z zachwytem i pochwycił jej rękę.

— Perlo, ja cię kocham!

— Otóż to właśnie mówiłeś! zawołała radośnie i przytuliwszy się doń, objęła szyję jego rozkosznym ramieniem.

Wtem drzwi alkowy skrzypnęły. Młodzi odskoczyli od siebie przestraszeni, jak dzieci, które nauczyciel zastaje przy niegrzecznej zabawie. Po-

mięszani, zbledli, rzucili się na poprzednie miejsca z potulnemi minkami jak trusie niewinne.

Nic jednak, to była tylko matka Naftalego, która nie patrząc nań wcale, przeszła przez pokój.

Oboje siedzieli nieporuszeni.

— Naftali! — zaczęła Perla. — Czy twoja mama jest dobrą?

— Oh! wykrzyknął on z zapalem — ona jest bardzo dobrą! Ojca nie pamiętam, a ona daje mi i sprawia wszystko, nigdy się na mnie nie gniewa, nie łaje.. Ona dała mi ciebie za żonę..

— O-wa! i co ci z tego? uśmiechnęła się Perla z filuterną kokieterią.

Naftali, co nigdy nie słyszał słowa „miłość“, co nie znał romansów z książek ani z opowiadania, zatrząsł się, jak góra, w której lawa nagle zaczyna krążyć. Ujął jej rękę i bawiąc się nią obcałowywał wszystkie różowe te paluszki. Głębokie wzruszenie tamowało im oddech, krew pulsowała gwałtownie, było im niedobrze, jakby dotkliwe jakieś uczucie chciało im piersi rozsadzać, a równocześnie tak niewymownie słodko i błogo.. Dusze ich topniały w zachwycie..

*

*

*

— Naftali! dał się słyszeć głos z drugiego pokoju.

Zawołany wstał leniwie, senny, ubezwładniony; raz jeszcze obrzucił ją wilgotnem, rozmarzonym spojrzeniem i wszedł do alkierzyka. Tam na sofie, po dobrym obiedzie, rozłożył się wujaszek i pykał fajeczkę. Wskazał wchodzącemu krzesło i patrząc nań z dobrodusznym uśmiechem, rzecze:

— I cóż, chłopcze! kontent jesteś z żony?

— Oh, bardzo, bardzom zadowolony! zawołał ów entuzyastycznie.

— To dobrze — rzecze wuj z głębokim zadowoleniem. — Po toś ją poślubił..

— I stłukł szklenicę pod baldachimem — wtrącił Naftali z uśmieszkiem.

Ale wujaszek się obruszył.

— Znowu dzieciństwa! ofuknął go. — Czas już, doprawdy, abyś się ustatkował!

— Jesteś już żonaty — ciągnął po przerwie, podczas której troskliwie naładował fajkę. — Wiesz ty, co to znaczy? Być żonatym, to znaczy: stać się skończonym, pełnym człowiekiem; mieć możność spełniania najważniejszych przykazań Boga i najświętszych obowiązków względem ludzi — jak mówi rabbi Jochaja. Być żonatym, to znaczy założyć dom własny i starać się, by on był, jako użyteczny ul w pasiece Pańskiej. Należycie ugruntować, pięknie i pobożnie prowadzić familią, to najświętsze nasze zadanie na tym świecie!

Gdy wuj suchym, belferskim głosem zaczął mówić, kręcił się Naftali niecierpliwie na krześle i miętosił w rękach pas z bekieszki. Lecz powoli, w miarę jak wujaszek dawszy zgasnąć fajeczce, poważnie rozczesywał palcami brodę i z namaszczeniem cedził słowo po słówku, stawał się nowożeniec uważniejszym, aż uprzednie jego roztargnienie całkiem znikło.

— Pamiętaj chłopcze! kontynuował mentor dalej — że my żydzi bylibyśmy już dawno wyginęli, gdyby nie to, że wcześniej zakładamy rodziny; bylibyśmy już oddawna wytępieni, gdyby w familiach nie przechowywała się czystość, tradycja, pobożność. A wszystkie przykazania boże i wszystkie nasze obowiązki ziemskie oznaczają poprostu: kieruj dobrze familią, wychowaj dobrze dzieci! Co znaczy pracować? Im los zapewnić. Co znaczy być uczciwym? Imię dać im szanowne. Co znaczy uczyć się, rozmyślać, badać? Uścielić im drogę do mądrości i szczęścia. Co znaczy kochać lud swój? Wpajać w niego wiarę, siłę, tradycję.. A co znowu jest największem szczęściem na ziemi? Pociecha z dziełek! Małżeństwo, familia, dzieci — to potęga, to opoka, na której stoi zakon i Izrael!

Podniesionym głosem, z rozpalonemi oczyma mówił wujko, a Naftali, głęboko przejęty, utkwiał weń wzrok i ciężko pracował myślą.

— Ale — rzecze nagłą myślą uderzony — jakżeż mogę ja spełniać te obowiązki, kiedy nie mam dzieci? Skąd je wezmę?

Wujaszek popatrzył nań przeciągle, badawczo i wzruszył ramionami.

— A wiesz ty — rzecze tonem egzaminatora — co to znaczy żenić się?

— Naturalnie, wujku. Bóg stworzył kobietę z żebra mężczyzny, a w małżeństwie jak mówi rabbi Jochaja..

— Tak, tak, ale nie o to chodzi. Wiesz ty, pociós się ożenił?

— No, po to, aby mieć towarzyszkę życia, pomocnicę, przyja..

Wuj niecierpliwie odrzucił fajeczkę.

— Ale poco właściwie wzięłeś żonę?

Naftali wpatrzył się weń wielkimi swemi, dziecięciami oczyma, nie wiedząc już co odpowiedzieć.

— Ha! westchnął wujaszek z determinacją i przychylił się do młodzieńca. Powoli, urywanym głosem, zaczął mu coś na ucho szeptać.

Ten sponsowiał, cały stanął w ogniu.

* * *

Niebawem wrócił do alkowy. Błady, drżący stanął przed Perłą, która wesoło doń przybiegła.

— Co ci wujko mówił? Dlaczegoś tam siedział tak długo? zapytała miękkim, srebrnym swym głosem.

Naraz dostrzegła zmianę na jego twarzy.

— Naftali, co ci? zawołała przestraszona.

On z gardła ściśniętego ani słowa nie mógł wydobyć.

— Naftali, mój mę-żu-lu! wyrzekła ze słodką pieśczętą w głosie i ujęła go za rękę.

On wzdrygnął się a kolory zmieniały się, igrały na jego obliczu.

— Ach, jakie ty masz ręce rozpalone! wykrzyknął.

Nagle nieokreśloną pchnięty siłą, wyciągnął do niej ramiona, jakby do uścisku namiętnego, niezrozumiałe szepcząc wyrazy. Ona pokraśniała i w okamgnieniu znikł jej przestach chwilowy. Z oczkami przymrużonemi, rokosznie uśmiechnięta, z wyciągniętą szyjką jak łania, podała się naprzód a dreszcz ją przeszedł słodki.

Wtem Naftali odepchnął ją od siebie gwałtownie, a zanim się opamiętała, usłyszała trzask drzwiami. Jego w pokoju już nie było.

Stała przerażona, potem zbladła i osunęła się na sofę.

— Ach! jęknęła. — To zapewne ten wujko niegodziwy narobił! i zalała się łzami.

*

*

*

Wzburzony i rozgorączkowany przechadzał się Naftali wielkimi krokami w lasku leżącym za miasteczkiem. Uciekł od ludzi nie zdając sobie sprawy: czemu? a teraz — trawy, drzewa, kwiaty zielenią się obok niego, szумы i śpiewy i odgłosy życia przyrody rozlegają się wokoło, a on na nic nie zważa, nic nie widzi, nie słyszy. W skroniach i piersiach bije mu jak młotem, wyobraźnia jego rozpalona, nerwy rozdrażnione, cały znajduje się w gorączkowym podnieceniu, a sam nie wie, dlaczego - to?

Słowa wujaszka potrafiły w nim tysiąc strun spiących. Teraz wbrew jego woli, ozwały się one, rozśpiewały, a echo ich rozchodzi się po całym organizmie, gra w nim, upaja go słodyczą i czarem tonów. A przecież tony te odurzają umysł jego, mącą ciszę i harmonię jaka tam dotąd panowała..

Jak małe dziecko przebywa w ciemnym pokoju bez bojaźni i lęku, a starsze lubo wie, że mu nic nie zagraża, trwoży się i waha, tak czuje on teraz, iż do Perli nie potrafi się zbliżyć, ni popatrzeć jej w oczy.. A to go drżeniem i tęsknotą przejmuje, to leje w jego żyły żar gorący, i mgłę szarą, to różową rzuca na oczy..

Czemu? — odpowiedzi dać sobie nie może, zanedto oszołomiony. Powoli dopiero uspakaja się,

opanowuje wzruszenie i wpada w zadumę. Próbuje chłodnym wzrokiem zajrzeć w cudne laboratorium natury, które przed nim dotąd mroczną tajemnicą było osłonięte; chce przeniknąć czarowny jego mechanizm. A spostrzegłszy tam siebie tuż przy Perli, znowu szkarłatnym płonie rumieńcem, lubym a bolesnym dreszczem wstrząśnięty..

Zwolna wzburzony jego umysł wypogadza się. Ćwiczony przez tyle lat w pobożności i cnocie, odpędza precz grzeszne uczucia, jakie serce obsiadły, budzi się w nim dusza w ascetyzmie i czystości wyrosła.... Przyzwyczajony do powagi i surowości w pojmowaniu rzeczy bożych stara się uprzytomnić sobie słowa, wyrzeczone przez wuja o rodzinie, o dzieciach.. Nawet obraz Perli zaciera się powoli, natomiast wyłania się cel życia, cel wzniosły, szlachetny, najwyższy, bo z Bogiem i Izraelem związany.. A środkiem, stopniem jest małżeństwo. Myśl Naftalego uskrzydla się, jaśnieje, serce rośnie, czuje przypływ sił i uczuć nowych.. młodzieniec staje się mężczyzną..

* * *

Długo chodził tak nowożeniec po lasku, od ziemi oderwany, w poważnych pograżony rozmyślaniach.

Nagle wzdrygnął się, jak obuchem uderzony. Wśród cizy leśnej usłyszał krzyk wielki, straszny.

— Ratujcie, ratujcie!

Przeraził się Naftali, stanął na miejscu jak przykuty.

— Ratujcie! zabrzmiał jeszcze raz głos rozpaczliwy.

Oprzytomniał, potarł czoło. Głos ten.. Ten głos dźwięczał mu w uszach, jakby nutą znajomą, wzbudził w nim dziwną burzę i siłę. Pędem puścił się Naftali w stronę lasu, skąd go wołanie doszło. Na nic nie zważając przedzierał się przez zarośla, brodząc w trawie, z trzaskiem łamiąc zawadzające gałęzie, przyczem zawołał kilka razy:

— Zaraz.. zaraz..

Krzyk się więcej nie powtórzył, a Naftali zadyszany, obszarpany, dostał się na drożynę. W przeciwnym kierunku dostrzegł dwie postacie, pędzące co sił z szaloną szybkością w głąb gęstwiny, jakby przed śmiertelnym wrogiem, a tuż obok — kobieta odwrócona odeń twarzą.

Przypadł do niej Naftali, ona się odwróciła i z głośnym krzykiem padła w jego objęcia.

— Perlo, Perlo moja! zawołał przyciskając ją z całych sił do piersi, obsypując ją pocałunkami. — Skąd się tu wzięłaś? co się stało?

Ona podniosła ku niemu oczy. Oddychała pośpiesznie, gorączkowo, jakby po natężającej walce, twarz jej była okryta śmiertelną bladością, a drgania kurczowe przebiegały ją co chwila. Otworzyła usta i nagle wybuchła głośnym, nerwowym, niepowstrzymanym płaczem.

Naftali zdrewniał.

— Bóg z tobą, Perlo! zdołał zaledwie wyrzec, głos mu zamarł w ustach. — Mów, co ci jest? dodał z wysiłkiem, nagłym bolem odurzony.

Odetchnęła głęboko, otarła sobie oczy.

— Uciekłeś z domu — zaczęła wśród łkania — a jam się przestraszyła.. Powiedziano mi.. żeś ty do lasu.. więc ja także.. Tutaj, tutaj..

Znowu płacz gwałtowny wstrząsnął jej ciałem.

— Napadli mnie.. zaczepili.. dwaj panicze jacyś..

Naftali zbladł jak chusta.

— I? wykrztusił zdławionym głosem.

— Usłyszeli, że ktoś idzie.. i uciekli.

Jak człowiek, któremu pętlicę z szyi zdjęto, odetchnął Naftali. Nie myślał obecnie o kwestyi czystości obyczajów u żydów i u nie-żydów, ani o bohaterstwie żonki. W ostatnich kilku minutach tyle doświadczył tortur i trwogi, że ogień ich, jak nagle błyskawica przeszywszy jego serce, zapalił w nim wszystkie drzemiące siły i uczucia. Ujrzał

się przy boku tej, która go pociągała, porywała czarem niewysłowionym. Pomyślał, że ona — to przez Boga zesłana towarzyszka, z którą ma razem żyć i pracować dla nieba i dla świata.. I tej.. tej uroczej, tej niebiańskiej groziło niebezpieczeństwo.. Ją byłby mógł stracić..!

Przestрах — zazdrość — miłość — cnota — zagorzały w nim naraz, zawrzały, wybuchły. Ręce jego opłotły bujną talię Perli, usta jego do twarzy jej przyłgnęły.

Ona zarzuciła mu rączki na szyję, przytuliła się do jego piersi, w jego objęciach poczuwszy zbawienie i szczęście. Woń silna, upajająca, oddech jej płomienny owionęły go, zalały, przenikły; przy sercu uczuł falującą pierś jej, na ustach — palący jej pocałunek..

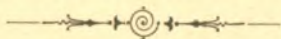
Ekstaza miłości go opanowała.

— Perlo ty moja! zawołał z uniesieniem i objął ją w długim, namiętym uścisku, w którym dusze ich topniały.

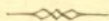
Spleceni razem, wrzący, nieprzytomni, zsunęli się oboje na miękką murawę, utonęli w sobie — w zachwycie — w szale — w szczęściu bezgranicznem.

Nad nimi błękitów opona zwieszała się lazurowa i drzewa rozmarzone szumiały tajemniczo. Za-

pachy lasu, szmery liści i motyli, świergoty ptasząt rozspiewanych zlały się w jedno morze cudów i rozkoszy, owionęły czarem nowożeńców, a w ich sercach chórów grały tysiące i szczęścia gwiazdy płonęły.



ZE ŚWIATA NĘDZY.



ciężkim, apatycznym krokiem szedłem przez rynek lwowski do utrapionej mej kancelaryi. — Co to za psia dola! rozmyślałem posępnie. — Siedm godzin dziennie rób jak maszyna; niewolniczo, bezmyślnie, a przecież z natężeniem umysłu przepisuj najkaligraficzniejszym swem piśmem przekłete te kawałki urzędowe i ciesz się nadzieją, że pierwszego aż piętnaście blatów dostaniesz. I to tak dzisiaj, tak wczoraj i jutro, pojutrze.. o młodości, ty nad poziomy wylatuj..! a niechby dyabli takie życie wzięli!

Bez kwestyi — jestem ostatniem, najnędzniejszym stworzeniem pod słońcem.. — I to w chwili, o której romantyzm woła: Świeć się, świeć się wieku młody — Śnie na kwiatkach, śnie mój złoty..

Nagle obudziłem się z poetycznych tych rozmyślań. Na rogu ulicy dostrzegłem dobrze mi znaną postać. Był to stróż domu, gdzie dawniej mie-

szkałem, Mateusz. Olbrzymi, barczysty, o czerwonej twarzy i grubej szyi, wyróżniał się herkulesową budową z pomiędzy reszty kamratów; opasany grubym powrozem, za którym błyszczała ostra siekiera, pykał krótką swą fajeczkę, z którą się pono nigdy nie rozstawał, a ciężkie cielsko opierał o wysoką piłę.

Zdziwiłem się niepomału. Co on tu robi? Niedawno zostawiłem go na doskonałej posadzie, a usługując zamieszkałej w tamtej kamienicy kawaleryi, nie potrzebował wychodzić na zarobek. Teraz stoi w towarzystwie innych wyrobników dziennych, chmurny, zbiedzony..

Zbliżyłem się doń.

— Dzień dobry, Mateuszu!

— Ah, dzień dobry, dzień dobry paniczowi! zawołał a twarz mu się rozjaśniła. Istniała między nami szczera sympatya, ledwie że nie poufałość.

— Cóż tam słyhać?

— Ot, bieda, paniczu, i tyle. Straciło się służbę..

— Nie jesteście już w tej kamienicy?

— A nie! Ot, bieda, paniczu i tyle.

Stanęliśmy obaj na uboczu.

— Pamiętacie paniczu moją Handzię? wyrzekł przytłumionym, tajemniczym głosem.

Znałem dobrze tę kształtną, z jednej masy

mięsa ulaną, wiecznie śmiejącą się dziewczuchę. Zamiatła mi nieraz i usługiwała.

— No, i cóż? pytam żywo.

— Ot, głupia dziewczka i tyle. Ino jej się śmiać i stroić się, małpuje panientki. Jakeście wy paniczu się wyprowadzili i jej zostawili guldena, to ona sy nie kupiła butów, tylko sznurówki.

Znałem i ja Handzię z tej strony.

„Rodem kury czubate“ pomyślałem. I jej matka ponoś także uciekła była z jakimś obrońcą c. k. austriacko-węgierskiej naszej ojczyzny.

— Od pewnego czasu — ciągnął dalej Mateusz — widzę ja, dziewczka kupuje i wstążki i chustki, cienkie buciki nawet. Psia krew, myślę ja sobi, skąd do niej tyle pieniędzy? A ona pada raz, co dostała od oficera z pierwszego piętra za drogę, to znowu, że znalazła przy wymiataniu. Oho, miarkuję ja sobi, jakieś w tem lichu i tyle. Rychtyk przed tygodniem patrzę, na pierwszym piętrze wedle schodów stoi moja — ta.. i w kącie, no, całuje się z młodszym synem pana gospodarza.

— Z Tadziem? wykrzyknąłem zdumiony. Trudno mi było uwierzyć, że cichy ten i pracowity chłopak, mający reputacją eterycznego idealisty, dopuszcza się tak nieidealnych sprawek.

— No, i co? zawołałem gorąco.

— I nic — dokończył Mateusz, wykrzywając

usta. — Dzielkę sprąłem, że sobi ruski miesiąc popamięta i tamtego.. panicza.. poprosilem, grzeecznie poprosilem, aby mi jej więcej nie bałamucil. Ale tego samego dnia pan gospodarz się dowiedział, rozzłościł się okrutnie i odszafował mnie.. Pada, szelma, co odpęda pokusy..

Przy tych słowach czerwona twarz Mateusza nabrzmiała, oczy mu się zaiskrzyły. Za chwilę jednak przybladł i cicho dokończył:

— Tak, tak, paniczu, bieda i tyle. Czworodzieciaków i ta Handzia utrapiona.. Siedzimy tam, na Zamarstynowie, u jednego stróża komornem, razem trzy familie, dzieciska piszczą: chleba.. kieszko! Stoję tutaj, nuż przyńdzie jakaś robota..

Rozprawialiśmy jeszcze chwil kilka o marnościach tego świata, aż wybiła dziewiąta. Pobiegłem do bióra a przy przepisywaniu jakiegoś tam aktu kupna i sprzedaży stał mi przed oczyma żelazny, nasrożony Mateusz i masywna, wiecznie wyszczerzająca zębki Handzia.. Zepsułem dwa arkusze papieru.

* * *

O dwunastej podniosłem się, wyprostowałem zgarbione plecy, aż się chrząst rozlegał i wyszedłem z bióra razem ze Stanisławem. Był to jedyny

człowiek, z którym można było po ludzku pogadać, pomyśleć głośno; inni panowie prawnicy, pracujący u tego samego mecenasa, uważali sobie za dys-honor wdawać się z takim jak ja simplexem, którego jedynym dygnitarstwem duchowem było, iż miał pismo kaligraficzne. Stanisław natomiast, lubo prawnik z czwartego roku, nie pogardzał mojem towarzystwem i serdecznie lgnął do mnie. Łączyły nas wspólna niedola i jednaki sposób myślenia. Stanisław miał lat dwadzieścia kilka a był już zgarbiony, przywiedły. Pył dokumentów, nocne ślęczenie nad książkami wygryzły mu blask oczu i świeżość cery; praca biórowa i szkolna pochyliła mu barki, troski pofałdowały czoło wcześniej — słowem: był on chyrlakiem fizycznym, typem wychowanka szkół naszych i biedy naszej. Ale w marnem tem ciele duch mieszkał dzielny. Przebywał on od lat wielu w ogniu ciężkiej walki o chleb i byt dla matki-wdowy i siostry swej biednej, dla nich żył, dla nich poświęcał młodość swą i niepospolite zdolności.. A ciągłe walki i niepowodzenia nie złamały w nim hartu duszy, nie zachwiały szlachetności jego charakteru. Wysoce go za to ceniłem.

Tego dnia przyszedł do bióra późno, a gdyśmy wyszli, włókł się obok mnie bezwładnym, ciężkim krokiem.

— Co się znowu stało, panie Stanisławie? pytam zaniepokojony.

Poraz drugi tego samego poranka gram rolę spowiednika.

— Nic nadzwyczajnego — odparł z westchnieniem. — Z siostrą znowu bieda. Przepracowała się nieboga, kaszle, skarży się na łamanie w stawach, na ból piersi.. nie może pójść więcej do krawczyni.. Zrozumiecie, co to za wypadek dla mnie, gdy z moich dwudziestu pięciu reńskich muszę utrzymywać jeszcze matkę starowinę i Manię..

Zrozumiałem to dobrze i serce mi się ścisnęło.

— I cóż poczniesz nieboraku?

Słaby uśmiech nadziei zabłysnął na jego twarzy.

— Ha — powiada — może się jeszcze co da zrobić. Podaliśmy do dyrekcji, by matce przyznano pensją wdowią, lub.. lub — jak tam nazywają.. dar z łaski..

Uścisnąłem mu gorąco rękę.

W garkuchni, gdzie spożywał obiad chudopacholski, wyczytałem w gazecie, w protokole z ostatniego posiedzenia naczelnej dyrekcji, następujący ustęp: Michalinie X., wdowie po urzędniku pomocniczym, odmówiono pensją, ponieważ mężowi jej brakowało jeszcze pięć miesięcy do dosłużenia się *takowej*. Nie uwzględniono też jej prośby o dar

z łaski, gdyż petentka *posiada* dwoje dorosłych dzieci, które same powinny zapewnić matce skromne utrzymanie. Przy praktykowanej obecnie zasadzie oszczędności stoimy konsekwentnie etc“.

Tą Michaliną X. była matka mego przyjaciela.

* * *

Po południu zbliża on się do mnie,

— Czy macie u siebie akta „Borecki contra Morowicz“?

— Tak, przepisuje właśnie skargę.

— Pozwólcie mi na chwilę papierów..

Ze szczególną uwagą zaczął je przeglądać, z pofałdowanem czołem i drgającymi wargami przeczytał kilkakrotnie skrypt dłużny, podpisany na kilkanaście tysięcy przez obywatela Morowicza. Bagatelkę tę miał mecenas właśnie wyprocesować.

— Cóż, u diabła, ta rzecz go tak bardzo obchodzi? pomyślałem zdziwiony. — Czemu blednie on i trzęsie się jak chory?

Nie śmiałem go badać.

— Z Manią niedobrze! szepnął schodząc ze schodów.

Ha, takie dwa ciosy w jednym dniu potrafią i większego niż on bohatera ogłuszyć.

* * *

Wieczorem po dziewiątej wracałem do domu. Powietrze było zgniłe, ciemno choć oko wykol, drobny kapuśniaczek, jak piasek mokry, siekł nie-miłosiernie, kpiąc sobie z parasoli i przechodniów; gdzieniegdzie błyszczało mgliste światło gazowe, tu wydobywał się jasny promień z ludzkiego mieszka-nia. Pusto tu i smutno — sklepy pozamykane — ani żywej duszy. Pusto i smutno w mojej duszy, głucho i ponuro będzie też w mizernem mem mie-szkaniu kawalerskiem.. Ni uśmiechu fortuny, ni uścisku kochanej osoby.. Rodzice — daleko, ta, którą ubóstwiałem — w objęciach innego, marze-nia i ideały dawno pogrzebane, a beznadziejne ju-tro wyszczerza do mnie potworne swe zęby. Ha, nędzne to życie!

Przy domu narożnym, którądy przechodziłem, na progu zamkniętego sklepu, dostrzegłem nagle skuloną postać. Ach, to mój Mateusz! Głowa w obu dłoniach oparta na kolanach, oczy bezmyślne, ciało bez ruchu — choć przed nim stoję.

— Hej, Mateuszu! zawołałem, potraćiwszy go mocno.

Zerwał się na równe nogi.

— Psia mać cię mordowała! wrzasnął na głos wyrwany gwałtownie z ciężkiej zadumy. Ale zaraz się opamiętał.

— To wy paniczu! wyrzekł prostując swą

postać. — Przepraszam, bardzok przepraszam. Ot, człowiekowi i życie niemile, i tyle.

— No, i jakżeż dzisiaj poszło? Mielście robotę?

On splunął ze złością.

— A niechże ich pioruny biją, pogańskie syny! zaklął nienawistnie. — Gdzież dadzą uczciwemu człowiekowi coś zarobić? Ot, patrzaj pan, pracują w mieście, chto? brygidniki. Chto drwa rąbie? brygidniki. Chto kopie studnie? brygidniki! I majstrat ich bierze, i panowie i kuźden, a ty człowiecze choć zgiń z głodu!

Światło latarni rzucało ponure blaski na potężnego tego chłopca, oczy mu się świeciły i ciężko sapał.

— Proszę ja pana — zaczął po chwili — i gdzież sprawiedliwość na świecie? Dlaczego ja, co mam dziesięć zdrowych palców i ochotę do pracy, nie mam co jeść, a drugi co ludzi mordował, ma i kąć ciepły i przyodziewek, a jenszy, co to nie orze, nie sieje, ma ci w bród wszystkiego? Dlaczego - to tak się dzieje?

I cóż miałem mu odpowiedzieć? Miałem - że rozpocząć wykład o harmoniach społecznych lub o oszczędności?

Staliśmy w milczeniu. On barczysty, żyłasty, ciężki chłop; z oczu strzelała mu dzikość i niena-

wiść, z ust buchała groźba, za pasem tkwiła wyostrzona, świecąca siekiera

Powoli spuszczał głowę i oddychał spokojniej.

— Paniczu, mam was o coś prosić — wyrzekł wahającym się głosem.

— I owszem, mój dobry Mateuszu, co tylko będzie w mojej..

Nie dokończyłem wielkoświatowego frazesu.

— A nie będziecież się gniewali?

— Ja? Toż my starzy znajomi!

— Tylko prosto z mosta! dodałem widząc jego zakłopotanie.

Po kilku chwilach zaczął przyciszonym, miękkim głosem:

— Pamiętacie paniczu, kiedyście-to chorowali? Byliście sami wśród ludzi, sami jak palec.. a ja natenczas chodził do lekarza.. płacił w aptece, robiłem wszystko ot tak, z własnej woli, nie chwając się..

— Oj, prawda - to, prawda, Mateuszu! szepnąłem rozrzewniony. — Gdyby nie wasze staranie, kto wie..

On znowu milczał.

— A pamiętacie paniczu — powiada następnie — kiedyście-to zawołali tego handelesa? No-wiuteńki ancug on chciał u was wyszachrować..

a wy się już zgadzali.. Aż ja nadszedł.. i.. tak wygodził.. Pamiętacie?

Czy ja pamiętam? dobry, poczciwy Mateusz! Niejedno mam mu istotnie do zawdzięczenia. Niejedno mi wyświadczył, kiedy byłem „na zielonej paszy“, a on intratną piastował posiadę.

— Pamiętacie to wszystko — dokończył bardzo cicho — a teraz ja.. — tu znowu się zawahał. — A nie będziecie się gniewali paniczu, gdy was poproszę?

To już mnie zniecierpliwiło.

— Ależ człowieku, mówcie tylko czego chcecie! Ja z całego serca..

— Ano.. może.. może pożyczycie mi kilka szóstek, paniczu. Dzieciska czekają na chleb, a za stancją trzeba także zapłacić.

Wyrecytował to jednym tchem, ze spuszczo-nemi oczyma. Że jam też odrazu tego nie zgadł!

Po długich targach przyjął tytułem pożyczki jeden reński. Przedtem dodał jeszcze tonem usprawiedliwienia się, iż mógłby zastawić siekierę i piłę, ale bez nich byłby jak bez ręki.

Ciężkie, nierówne jego kroki dudniały na bruku, wśród mgły i ciemności lśniła ostra jego siekiera, a migotliwy blask gazowy oświecał na skrzyżowaniu uliczki atletyczną tę postać, pełną sił żywotnych

i energii, o sercu prostem a szlachetnem, o dłoniach zdolnych choćby do roztrzaskania głązów.

I taki człowiek musi prosić.. o pożyczkę!

* *

W kilkanaście dni potem spotkałem się znowu z Mateuszem. Twarz jego była sinawa, kark zgięty, oczy mętne, posępne.

— Gdzie piła i siekiera? zapytałem.

— Ano żyd zabrał, psiajucha — odmruknął.

Z ust jego doleciał mię silny odór wódki.

Spojrzałem nań badawczo.

— Cóż to, pijecie? Teraz, w takich czasach!

Zmieszał się, zadrżał, potem podniósł śmiało głowę, jak człowiek na wszystko zdecydowany. I głosem chrapliwym, w którym zgrzyt pijackiej bezczelności brzmiał, zaczął się zaklinać.

— Jak Boga kocham, paniczu, że nie. Ot, bieda i tyle. Sprawiedliwie mówię, jak Boga ukrzyżowanego...

Dużo musiał przecierpieć ten wdowiec, który był i ojcem i matką pięciorgu dzieciom, zanim tak nisko upadł.

Wetknąłem mu do ręki papierek.

— Ślicznie dziękuje! łypnął oczyma a twarz rozjaśniła mu się z radości.

Rola moja była skończona.

Cóż jednak stanie się z Handzią? w co się obróca jego dzieci? Czyż i ona będzie jednym z kanałów, któremi spływają brudy publiczne? Czyż i jego chłopcy wyrósłszy w nędzy i poniewierce na potwory, będą zbrodniami mścić się na społeczeństwie za to, że ojcu odmówiło prawa do pracy? Czy.. Domysły łatwe — statystyka kryminalna bogata. Ja w niej wyczytuję: Grzechy biednych i słabych są występkami możnych i panujących tego świata.

* * *

W biurze nowy akt tragedyi mię czekał. Stach wyglądał blado i mizernie. Ubiór w nieładzie, sine podkowy pod oczyma, rozdrażnienie, wskutek którego nie mógł pracować porządnie, to wszystko przejmowało mnie trwogą i współczuciem.. platonicznem. Doświadczałem może po raz setny tego wściekłego, piekielnego poczucia własnej nędzy, niemogącej najmniejszej przynieść ulgi cierpiącemu i nieszczęśliwemu. Uczucie to stokróć boleśniejsze niż cierpienia fizyczne, a gdyby go terazniejsi opaśli bankierzy lub wylizani pan-kowie byli za młodu doświadczyli..!

— Macie jeszcze akta Morowicza? zapytał Stanisław cichym, jakby skrytym szeptem.

Podniosłem na niego oczy jak zwykle przy rozmowie, a on wzrok spuścił i zarumienił się zlekka.

Uderzyło mnie to nadzwyczaj.

— Nie — odrzekłem niechętnie. — Akta oddałem mecenasowi.

Wzdrygnął się, słowa jakies zawisły mu na ustach i zastygły.

— Mania ma się bardzo źle — wyrzekł przygnębiony, a mnie zdawało się, że te słowa mają być tylko zamaskowaniem połkniętego pytania w sprawie Morowicza. Jakoż w kilka chwil ujrzałem go przy biurku adwokata — w rękę obracał znowu nerwowo odnośne papiery. Cóż u dyabła obchodziły go one tak bardzo?

— Proszę was — rzecze do mnie po południu — czemu mecenas zostawia weksle na wierzchu? mogłyby jeszcze zaginać! Zamknijcie je, zróbcie kopię i wyekspedyujcie.

To już mię zastanowiło.

— Panie Stanisławie! rzeknę pociągnawszy go na przechadzkę po odludnej uliczce. — Ukrywacie coś przede mną.. coś ciężkiego, zmartwienie, tajemnicę, która was dławi.. Nie macie-ż więcej do mnie zaufania?

W głosie mym dźwięczał zapewne ton serdeczny, z serca - bo mówiłem.

— Żebyście to wiedzieli, jak mi tu źle, jakim życie dla mnie ciężarem nieznośnym! westchnął boleśnie.

— Nie pierwszy ty i nie ostatni! szepnąłem banalnie.

— I gdyby nie stara, schorowana matka, gdyby nie biedna więdnąca siostra, gdyby nie to, że ja jestem jedyną ich podporą, jedynym wyżywicielem, tobym bez wahania koniec temu położył.

Przestraszyłem się tych dźwięków.

— Stanisławie! zawołałem, chwyciwszy go za rękę, jak człowieka mającego runąć z trzeciego piętra.

— Bo i proszę was — mówił dalej złamanym, żalonym głosem — czegoż mam się spodziewać? co mi życie dać może? Trzynaście lat deptałem ławki szkolne, trzynaście lat suszyłem sobie mózg a rodzicom kieszeń, cztery lata chodzę na uniwersytet, razem blisko dwadzieścia lat życia.. o głodzie i chłodzie.. wśród wściekłej pracy.. nie skosztowawszy młodości. Ojciec umarł przepisując papiery urzędowe, matka — wychowana na panią, nie na robotnicę, a Mania! To mię do rozpacz doprowadza. Robiła u modniarki, dostawała 15 reńskich i szło nam jako tako, choć długi familijne, honorarya lekarskie, recepty.. A teraz, ona.. ona może na

suchoty zapadła! Boże, mój Boże, co my pocznemy, co z nami będzie!?

Milczałem; każde me słowo byłoby oliwą do trawiącego go ognia.

— A wiecie — rzecze po chwili tonem, który miał dźwięczeń swobodnie, a brzmiał bardzo przykro. — Wiecie, że temi dniami nastawiono na mnie pułapkę.. Mieszkamy właśnie w domu tego Morowicza, przeciwko któremu nasz mecenas prowadzi sprawę. Potężny-to kawał łotra, zaproponował mnie ni mniej ni więcej, tylko.. sprzątnięcie jego weksłu..

Przerażenie mię ogarnęło i ból wielki. Stach więc *myślał* o tej propozycji..! On — nieskalany, złoty ten charakter. .

Stapał obok mnie z oczyma wlepionemi w bruk i przybrawszy ton poprzedni mówił, a właściwie skarżył się głosem, z którego już wszelka energia znikła:

— Teraz mam zdać rygorozum. Uczyłem się i nie mogłem żadnej lekeyi przyjąć; i tak nie spałem nad pięć godzin, mając kancelaryjną robotę.. Sześćdziesiąt reńskich nieodwoalnie muszę zapłacić.. rok praktyki przytem.. praktyki bezpłatnej, po tyloletniej pracy, tam gdzie inni biorą po sześć tysięcy rocznie.. Potem mogę albo za trzydzieści papierków stać się wołem roboczym u adwokata, albo kandydować do dyurnum w sądzie. Tymczasem la-

ta upływają, a matka, a Mania.. oh, drzę o nie, serce mi zamiera na myśl o ich przysłości.. A ulgi — sprawiedliwości — prawa do pracy — do życia, społeczeństwo nam nie przyznaje.. I powiedźcie, co na to poradzę, choćbym posiadał energię, zdolności, serce? Musimy więc zmarnieć — nieodwoalnie zginąć? Czemu — czemu!..

* * *

W posępnej mej izdebce szamotałem się długo z niewesołemi myślami. Kipiały one, kłębiły się — pełzały po naszej ziemi, to bujały w bezgranicznej marzeń przestrzeni — wikłyły się, splatały — raz bolem, to nadzieją lub wrzącą niecierpliwością mię napełniały — a zlać się w jeden jaśniejszy obraz — jednym stać się ciałem i ku jednemu podążyć celowi nie chciały.

Z sąsiedniego lokalu dolatywały mię wesołe pieśni ucztującej młodzieży. Z uśmiechem podnosiła ona kielich rozkoszy do ust pąsowych. Z półek spoglądały na mnie oblicza szlachetnych poetów, mędrców i mistrzów ludzkości myślącej. Ze szpałt pism dochodziły mnie odgłosy zagadnień wielkich, haseł świętych, nurtujących w łonie walczącego świata. A przed oczyma Stanisław i Mateusz, zaklepieni w nędznej skorupie, z której wyjść nie

sposób.. wydziedziczeni ze wszystkiego, co stanowi powab życia, kwiat cywilizacji, nadzieję przyszłości.. Rośli oni, wyzuwali się z szat indywidualizmu, olbrzymieli do wysokości przedstawicieli, typów klas całych..

O poezyo, opiewająca wiosnę i czary życia!
O Chrystusie, miłością zbawiający maluczkich i biednych.. I wy wzniosłe ludzkości ideały.. Nie dla was pora, nie dla was miejsce u schyłku naszego wieku!

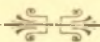
Cierpienie niewymowne mną targało.

Co będzie jutro? a pojutrze? pytałem się duszy zbolełej, pytałem ksiąg uczonych, co oświeclają i przetwarzają porządek świata.

„Czem gorzej, tem lepiej“ odrzekła mi jedna. „Żyjemy dla przyszłości, a prawda i sprawiedliwość, prędzej czy później zwyciężyć muszą“.

Taak? Ale dzisiaj?

Oh, nędzne-ż to życie, podłe, rozpaczne!





LEKKODUCH.





Znany i ceniony w szerokich kołach malarz X. słynie w gronie bliższych znajomych, jako człowiek, co to ni do tańca ni do różańca. Sensat z niego, pedant nieznośny, sto razy zastanowi się nad jedną rzeczą, zanim słowo ostateczne o niej wypowie, a ulubionem jego przysłowiem jest: „powoli bratku, pomaleńku..“ — Te jego właściwości uderzają tem bardziej, ile że nie wypływają z charakteru, z temperamentu, a zdają się pochodzić z przymusu, z chęci gwałtownego przewyciężenia przeciwnej natury. Od czasu do czasu zapomina on się łatwo, gorączka go ogarnia, wrażliwość i drażliwość niesłychana. Wówczas zapala się do każdej myśli artystycznej, w teatrze śmieje się i płacze, jak kobieta nerwowa, sangwiniczny, kapryśny jego temperament w gwałtownych wybuchach przebija twardą lupinę, jaką się zazwyczaj otacza — lecz na krótko. Z jednej ostateczności przerzuca się prędko w drugą, staje się rachunkowym, trzeźwym

jak kupeczyk angielski — a do równowagi przyjść nie może..

Przed kilku tygodniami przychodzę do pracowni. Na sztaludze rozpięte ostatnie jego malowidło „Majówka“. Obraz — cacko, z jakim realizmem oddany, jaką technie świeżością i poezją! A mistrz stoi przed nim z ustami kurezowo zaciśniętymi i podniesioną dłonią.

— Co to za idyotyzm! woła — Co za niedołęstwo!

— Cóż znowu?

— Patrz, te bębny.. do czegoż to podobne! Toż to do pasy może człowieka doprowadzić!

I porwał za nóż ze stołu i mierzy w swe płótno.

— Ależ człowiecze, opamiętaj się! krzyknąłem przerażony i gwałtem usadowiłem go na sofie

— Co za szaleństwo, co za lekkomyślność! mówiłem do siebie zirytowany.

Te słowa podziały nań magicznie. Wysapał się, ochłonął i ściskając mą rękę powtórzył kilkakrotnie: Tak przyjacielu, byłbym *znowu* popełnił lekkomyślność..

— Wiesz — dodał za chwilę — jeśli mię kiedyś nanowo pasya ogarnie, strofuj mię tem słowem, a ono na mnie działa, jak zimna woda na

furyatów. Oh, pamiętam to dobrze... piękna to historia..

Niedawno zgromadzeni w jego pracowni prosiłszy go o opowiedzenie „pięknej“ tej historii. Był wówczas w złotym humorze, przy fantazyi, odmłodzony, rozgadany i nie dał się długo prosić. Przysunął fotel bliżej kominka, rozsiadł się wygodnie i tak zaczął:

—Kilkanaście lat temu byłem w szkole sztuk pięknych jednym z tęższych łepaków i pierwszym łobuzem. W kieszeni gotówka — w głowie zielono — a w sercu gorąco, żyło się więc pełną gębą bez trosk i myśli, ot po cygańsku..

Za jakiś tam bobomaz uzyskałem medal, po nieboszczce matce miałem kilkadziesiąt tysięcy reńców, śmiertelnie nudny Kraków stał mi już kością w gardle, postanowiłem więc puścić się w świat — w podróż artystyczną.

Byłem już na wyjeździe. Jak wódz przed wyprawą, tak ja zrobiłem ostatni przegląd moich manatek podróжных, sumienia i kieszeni, wtem do pokoju wpadł Władek. Kto on? zaraz, poczekajcie.

— Przecież jesteś raz! zawołałem na niego. Zrozumiał mój wyrzut.

— Cóż! odparł. — Myślałeś, że cię puszcze w świat bez błogosławieństwa?

Sadził się na dowcip, ale mu nie szło. Nic dziwnego. Chwila, jaką mnie poświęcił, była jak mniemał skradzioną jego szczęściu, a szczęście to uosabiało się w modrych oczach i pulchnej twarzy panny Stasi. Dla niej zaniedbał on naszą przyjaźń, datującą się od ławki gimnazjalnej, dla niej byłby i duszę dyabłu sprzedał. Byłby — gdy ją posiadał, ale ona już dawno należała do tej jejmościanki.

Mnie desperacya brała. Jak on mógł tak dalece zgłupieć, on, chłop tak wykształcony, tak trzeźwy! Ha, może właśnie dla tego. Kilkanaście lat przesiedział na ławie szkolnej, potem w pyle książek i cuchnącem prosektoryum, cichy, zamknięty w sobie, nauką i ambicyą trawiony — panował nad gorącym sangwinicznym swym temperamentem, nie brał udziału w bibach naszych i hulatykach. Toteż jak raz w nim krew zagrała, jak go opętał urok tej dziewczyny, wpadł poprostu w delirium miłosne, w namiętność wściekłą.

Mimo to spróbowałem go mitygować.

— Widzisz Władek — powiadam. — Kole-dzy gramolą się już na posady, a ty kiedy zdasz rygorozum?

— Kiedy? kiedy? za miesiąc, za kwartał..

— Tyle czasu tracisz.

— Co ty wiesz! czas u niej spędzony nie jest straconym.

A widząc, że zamierzam znowu coś dodać, zawołał rozdrażniony:

— Dlaczego wy wszyscy chcecie świat uszczęśliwiać podług swojego widzimisię? Niechby każdy był szczęśliwy podług swojej chęci. Co ty się na mnie tak wziął?

— Bo zanadto cię kocham, bo mi żal twej młodości, talentu twego..

— No, no.. odrzekł uśmiechając się pół-gniewnie, pół-ironicznie. — Porzuć ten ton ojcowski, bo ci z nim nie do twarzy. Jestem przy zdrowych zmysłach i wiem, co czynię. A ponieważ już wyjeżdżasz — dodał po chwili — powiem ci, że.. że za tydzień damy na pierwsze zapowiedzi.

— Oszalałeś? krzyknąłem.

— Oh, niezdolność z ciebie stworzenie się stało. Masz znowu morał na ustach.. Połknij go, gdyż tobie najwięcej on potrzebny. Wagabundować się ze wszystkimi dziewczkami wolno, za tytuł doktorski brać kilkanaście tysięcy i pierwszą lepszą gąskę wolno, a ja się żenić nie mogę! Czemu? Bo panielka nie ma sakramentalnej mamony?

— Ależ pomyśl, jeżeli władzy myślenia jeszcze nie straciłeś. Czy taka, jak ona kobieta, będzie dobrą żoną, matką dobrą?

— Będzie, bo jest najlepszą, najszlachetniejszą, jeśli nie na całym świecie, to przynajmniej w Krakowie. Bo mnie kocha..

— I ja ją kocham! dorzucił prędko, zamknąwszy mi usta — ubóstwiam, uwielbiam, będziem więc szczęśliwi.

Rozgorączkowany zaczął biegać po pokoju.

Nie dając za wygraną przypuściłem szturm z największej baterii.

— Proszę ciebie — powiadam. — A z czego się ona z matką utrzymuje?

— Nie widziałeś-że wspaniałych, artystycznych jej haftów?

— Więc..?

— A ty-ś myślał? Daj już temu spokój, mistrzu. Wierzę, że ci się wydają dziwnym.. Ha, wyście używali i nadużywali życia, trwonili swe siły w brudach i knajpach wszelkich, a jam się oszczędzał. Teraz wy zblazowani, wyczerpani, nie możecie mnie nawet zrozumieć. Basta więc! Na ślub cię zaproszę, a ty naturalnie nie odmówisz staremu druhowi..

Wycedził jeszcze kilka frazesów i pożegnał mię ozięble.

*

*

*

Do pociągu miałem jeszcze kilka godzin, a wprzód należało jeszcze złożyć niektóre wizyty pożegnalne. Nie spieszyłem się, bo mi na sercu było ciężko, bo mię gryzły obawy i troski o Władysława. Oczywiście chłopak zmarnieje — myślałem. — Stoi nad brzegiem przepaści a trudno mu oczy otworzyć. Czyż sam sposób poznania się z *nią* nie powinien być dlań wystarczającą wskazówką? Hm.. Panna Stasia była jedną z tych facetek, z którą każdy z nas chętnie romansuje a żaden nie zamyśla się żenić. Mieszkałem z Władkiem w jednym pokoju studenckim. Raz wyglądając oknem, spostrzegamy naprzeciwko parę modrych, śmiejących się oczu i krągłą, rozkoszną buzię. Studujemy bliżej, a ona i nas musztruje i znaczące robi minki. My na wzajemność długo nie każemy czekać — tak telegraficznie porozumieliśmy się doskonale i niebawem zapukaliśmy obaj do naszej sąsiadki. Przyjęła nas w pysznem mieszkanku, przedstawiła matce, bardzo czcigodnej matronie; mnie potraktowała cygarem a Władka, bojaźliwego niezgrabę, tak szelmowskiem spojrzeniem, że jam się odrazu uczułem na stopie koleżeńskiej, a on wszystkie zmysły stracił. Ależ to kompletnie: bo gdyby miał oczy, widziałby zbytek i miny wypróbowanej kokoty; gdyby miał uszy, słyszałby, co ludzie mówią o jego ideale. Ugrzązł po uszy — a czasem mi się zwie-

rzał, że i ona mu wzajemna.. A niechby się chłopak bawił, jeśli ona pozwala — mówiłem sobie. — Dla niego to bardzo.. higieniczne, a ona.. no, ona nie ma nic do stracenia. Teraz dopiero widzę, że rzecz stoi inaczej. Zapręgåła go do rydwanu i ciągnie do ołtarza. Sprzykrzyło się dzierlatce być utrzymanką jakiegoś tam zdechlaczka hrabiowskiego i pragnie zostać panią konsyliarżową; a może u niej jedno drugiego nie wyklucza! Ha, ona jak dyabełek sprytna, Władek zbałwaniał z kretešem — co począć, co począć!?

* * *

Poszedłem do „panny“ Stasi. Dawniej bywałem tam często i bawiłem się doskonale, nie potrzebując wdziawać fraka, ni miny salonowej. Od czasu jednak, gdy Władek się zadurzył, nie chciałem mu wchodzić w drogę i nie pokazywałem się jej na oczy. Teraz postanowiłem przycisnąć ją do muru, pociągnąć za szanowny języczek — może się jeszcze uda zażegnać lichu.

Przyjęła mię, jak za starych, dobrych czasów, swobodnie, wesoło, choć mamy nie było w domu. Uścisnęła mi rękę silnie ciepłą, małą swą łapką, pokazała białe ząbki w srebrnym uśmiechu i usadowiwszy mię na krześle, sama rozłożyła się na

sofie. Z Władkiem zapewne większe robiła ceremonie, może i skromni się grała, ze mną jednak inaczej. O, bo główkę miała nie od parady, a jaką główkę! Grube, złote kosy oplatały ją pysznym wieniec; oczki modre świdrowały, to magnetyzowały, a buzia — powiadam wam — pączki w mleku! A broda, a szyjka — co za linia, co za ton! Przytem — jak umie prowadzić rozmowę! jakie perły, jakie dukaty z ust jej się sypią.. A każdy dowcip przyprawia błyskiem oczu, każde, choćby obojętne słowo okrasza uśmieszkiem, ruchem, że cię zaraz mrowie przechodzi.. A jak doskonale zna swój arsenał, jak dobrze umie broń wybierać.. I większy niż Władek bohater byłby głowę stracił, ja nawet..

Ja siedziałem nachmurzony, postanowiłem być poważnym, surowym. Ale co? Złożyła pysio do grymasu, z którym djabelnie pięknie wyglądała, uderzyła mię ręką po kolanie i rzecze:

— Gniewam się na pana!

I rób tu coś! Oczywiście trudno mi było rozpocząć indagacją czy tam kazanie. Bije od niej taka woń czarowna, tyle szelmowskiego uroku, że krew zaczyna grać w człowieku.. Żyłka lamparta się ozwała, a Stasia mogła olśnić.. Złoto - to było, prawdziwe złotko! może wiele rąk otarło już z niego

stempel świeży, ale przez to właśnie wypolerowało się ono bardziej i błyszczący..

Opowiada o cyrku, o jakichś tam głupstewkach, co dostała od jakiegoś stryjaszka na imieniny (oj, ten stryjaszek!) i mimochodem wspomina o Władku; jakto on śmiertelnie zakochany, jak ją prześladuje i dręczy. Ani słowa o tem, że już zaręczeni, wy-pytuje tylko o stosunki jego familijne i finansowe. Przytem mizdrzy się, chichocze, uderza mię swawolnie.

Powoli przychodzę do siebie. Toż to mi nie pierwszyczna. Zły, jak stu jezuitów, że tak łatwo na jej lep idę, myślę, myślę, co tu się da zrobić dla przyjaciela, a tu ani rusz! trudno coś wymyśleć.

Nagle strzeliło mi coś do głowy — planik doskonałego fortelu.

— Będiesz pan we Włoszech także? pyta panna Stasia.

— Prawdopodobnie.

— Jakżeż panu zazdroszczę! Jak długo żyję — a mam już za sobą lat niemało — siedzę ciągle w tej ot klatce.. Duszno mi, ciasno — jakżeż chętnie poleciałabym za panem! Wiedeń, Paryż, Szwajcarya, Włochy.. Co za szczęście!.

— A mnie to bardzo mało cieszy — powiadam. — Znam szczęśliwszych.

— Na przykład?

— Władysław. On niebawem z tej klatki cudną weźmie ptaszynę.

Ściągając brewki niechętnie, wzruszyła ramionami.

— Wielkie to pytanie jeszcze. Więc pan powiadasz, że jest synem rzemieślnika?

— Ojciec jego jest szewcem.

— I że nie ma wcale własnego majątku?

— Tylko długi..

— Widzi pan — rzecze ona — jaki pański przyjaciel.. nieszczery.

— To, proszę panią, zdarza się u niego, często nawet. Powinnaby się pani do tego przyzwyczaić, aby sobie zaoszczędzić przykrości, mogących wyniknąć z nieporozumienia się..

Łgałem kapitalnie, jak najęty. Władek, szlachetny, prawy chłopak był synem jakiegoś bogatego radcy ze Lwowa. Dyplomacya ta jednak leżała w moim planie.

Cisza zapanowała na kilka chwil. Panna Stasia opiera poważnie zmarszczone czoło na rękę. Akcye Władysława bardzo u niej spadły, ale on mógł łatwo podnieść kurs ich, a to nie leżało w moim planie.

— Szczęśliwy naród z was artystów — zaczyna ona nanowo. — Bujacie po świecie szerokim, życie tylko dla piękna, sami tworzycie piękno..

— Szczęście to bardzo problematyczne — odparłem dość spokojnie, podczas gdy we mnie łobuzerya kipieć zaczęła i pchała naprzód, tak że coraz mi trudniej było cofnąć się przed powziętym planem. — Czem jest paleta wobec twórczej przyrody? Czem są nasze prace wobec jej arcydzieł? Któryż mistrz zdoła oddać, uzmysłwić, barwami wyrazić czar ten, urok, wdzięk boski, jaki bije od.. pani, panno Stanisłavo!

Wyrecytowałem to z tragikomicznym patosem, a równocześnie chciałem sobie porządnie zamalować facyatę, żem się tak głupio wziął do rzeczy.

— W komplementa pan się bawisz? rzecze ona uśmiechając się jakoś dziwnie. — Nie znam pana z tej strony..

Ja zerwałem się na równe nogi. „Raz maty rodyła“ pomyślałem i jak żołnierz bohaterski z zamkniętymi oczyma w ogień się rzucić postanowiłem.

— Ależ to nie komplement! Niepodobna dalej tłumić w sobie tej burzy — wykrzyknąłem głosem i z gestem aktora prowincjonalnego. — Pracuję od lat tylu, maluję mózgiem, sercem, krwią swoją, a nie zdołam nawet na płótnie zbliżyć się do wzoru, do ideału, jakim ty jesteś..

— Ja? rzecze uderzona tonem mej deklamacji.

— Ty, pani mego serca!

Wyobrażam sobie, jak komicznie w tej chwili

musiałem wyglądać, jak ona się w duszy pytała: „kpi, czy sfiksował?”

— Panie! wyrzekła.

— Nie gniewaj się pani! jestem śmiały, ale to krok rozpaczliwy człowieka, który nie ma już nic przed sobą. Bo i cóż mogę ja w życiu znaleźć, jeśli ty, pani, wyjdiesz za niego..

Ona patrzyła na mnie jeszcze niezmiernie zdumiona, a kąty ust jej zlekka drgały.

— Nie wierzysz pani w szczerłość moją? Posądzasz mnie o komplementa? — kontynuowałem tonem lirycznym. — Ah, prawda, szaleńcem mogę się pani wydać z tym nagłym wybuchem.. Ale — ja nie czułem się godnym takiego skarbu, nie chciałem stawać na drodze szczęścia przyjacielowi! Lecz teraz — trudno.. unikałem cię, próbowałem nakazać sercu milczenie, ale ono mi pierś rozsadza.. Muszę to powiedzieć, muszę cię ubóstwiać, i — oddalić się stąd, uciec.. w świat daleki.. z raną serdeczną, z żalem i bólem niezmiernym..

Tu rzuciłem się przed nią na kolana.

Ona prędko się otrząsnęła z chwilowego osłupienia i przenikliwie wpatrzyła się we mnie świdrującymi ślipiami. Może dostrzegła na mej twarzy wyraz, jaki posiada aktor, dający się unieść swej roli, a może chciała na wszelki sposób wyzyskać

niezwykle położenie, dość że sama także grę zaczęła.

— Panie! wyszepnęła głosem niby przestraszonej pensyonarki, niby królowny obrażonej. A gdym ja błagalnie dłonie wyciągnął, cofnęła się w prawo, trąc czoło białe.

Odetchnąłem na chwilę. Ha, próba ogniowa przebyta. Błagowałem wprawdzie po partacku, ale trudno było studyować, układać. Zresztą, cóż zaryzykowałem? Na niewinność takiej „panny“ Stasi z pewnością nie czychałem.

Majestatycznego wzrostu, o cudnej kibici obróciła się znowu do mnie w całej krasie swej bachanckiej. Twarz jej miała wyraz poważny, skupiony, podczas gdy oczy iskrzyły się ogniem hetery. Oh, znała ona swą siłę. Położyła mi rękę na ramieniu, przychyliła się do mnie, tak iż obok siebie czułem pierś jej rozkoszną, twarz mą owionął oddech jej gorący.

— Czyś się pan nad tem zastanowił, co mówisz? wyrzekła miękko, tkliwie a z miną uroczystą.

— Wiem pani — powiadam patetycznie — na co się naraziłem. Wiem także, że ciężko zgrzeszył wobec przyjaciela.. ale nie mogłem dłużej być panem siebie! Ach, nie gniewaj się pani.. i tak już przez los srogo jestem ukarany; pozwól mi odejść, utonąć w wirze świata.. zapomnij

o mnie.. W szalonym Paryżu, w rozkosznej Italii obraz twój towarzyszyć mi będzie..

Stała jeszcze chwilę w tej pysznej pozie.

— A coby było — rzecze podawszy mi nagle obie ręce i patrząc mi w oczy figlarnie. — Coby było, gdybym i ja panu powiedziała, żeś mi.. też nieobojętny.. że i ja cię kocham?

Wydałem okrzyk zachwytu, przycisnąłem z prawdziwym zapałem rączki do ust, a ona już mię opasała ramionami, do warg mi przylgnęła. A piękna, a słodka bestyjka była..

* * *

Umówiliśmy się, że wieczorem razem w świat się puścimy, a ślub nasz odbędzie się jaknajprędzej. „Mama nie zechce stanąć na drodze mego szczęścia“ mówiła Stasia. Na poczekaniu skomponowała długą historią miłosną, w której nie brakło zapewnień o głębokiej sympatyi, jaka ją ze mną związała od pierwszego widzenia, i o tem że odpędzała marzenia o mojej osobie, reprezentującej tak znaczny majątek, i o tem, że może niedobrze robi wyjeżdżając ze mną, ale jest niewolnicą uczucia, i ufa mojemu sercu, mojemu honorowi.. O tym najmniej teraz myślałem. Nie szczędziłem jej także

słodkich cukierków, karmiliśmy się więc karmelkami, okłamywaliśmy się oboje — artystycznie! Czyż ona nie wiedziała, że ja tak piramidalnie blaguję? Czy ona choć przez chwilę przypuszczała, że ja się ożenię z osóbką, która równocześnie trzem panom służy? A jednak siedziała mi na kolanach, szczeniła wesoło, i układała projekta, jak w Paryżu czas przepędzimy. Od czasu do czasu tylko, wąska zmarszczka, przebiegająca jej czoło, wskazywała, że myśl jej dyplomatyczna nie próżnuje. Bawiłem się nią przepysznie, nerwy miały karm doskonałą, a przyjemność ta była jeszcze spotęgowaną przez pewność, iż akcja moja bojowa, tak szczęśliwie przeprowadzona pod patronatem Amora, pomyślnym zostanie uwieczniona skutkiem. Szczęście przyjaciela leżało mi więcej na sercu, niż wszelkie paragrafy moralności publicznej czy tam prywatnej, a rozhułany na dobre o niczem więcej nie myślałem.

Wieczorem mieliśmy się zejść na dworcu. Ona tymczasem przygotowuje mamę do tej niespodzianki (autentyczność tej mamy od parady mocno mi była podejrzana!) a ja jeszcze załatwię niezbędne sprawy. Udamy się wprost do Wiednia, tam ona dostanie wszystkie papiery, pobierzemy się i.. wio do Paryża.. Nie inaczej!

Wybiegłem od niej, jak z rajy Mahometa, gdzie dobrzeby zagościć na godzin kilka, ale broń

Boże od takiej szczęśliwości wiecznej. Pierwszą moją rzeczą było — napisać karteczkę do Władka: „Usilnie cię proszę, byś wieczorem przybył na dworzec. Jeżeli w twym sercu tli jeszcze iskierka dawnej przyjaźni, jeśli pragniesz szczęścia mego — przybądź!“

Do miasta nie poszedłem więcej. Obsiadły mię myśli i wątpliwości nieznośne i piekielnie dręczyły. Kto wie, czy dobra ma metoda? Mnie przyniosła ona kąsek smaczny, ale czem będzie dla Władka? A przytem — coś mię ciągle szarpało, że tak się robić nie powinno. — Głupstwo! myślałem sobie. — Podług drzewa — klin.. Trudno być gentlemanem w chwili, gdy przyszłość przyjaciela ma utonąć w mętach takiej kobietki, gdy los człowieka, mogącego być dzielnym obywatelem, chlubą rodziny, wisi na włosku. Gdyby ten bzikowaty Romeo był mi przedwczoraj powiedział o celach swych matrymonialnych — ha! Gdybym był wiedział, jak daleko zaszedł.. Nic łatwiejszego, jak wyszpiegować mieszkanie tego panicza, do którego ona tak nabożnie pielgrzymuje.. Ale jam rzecz całą traktował „per nogam“, jak każdy stosunek każdego z nas.. Teraz jestem na wyjeździe, niebezpieczeństwo groźne, a mając do wyboru między śmiercią cywilną Władka a moim planem, wybrałem mniejsze zło.

A jeżeli się nie powiedzie?

W salonie drugiej klasy stapałem jak po węglach. Najsprzeczniejsze myśli krzyżowały się w głowie, szarpały mię, paliły. Szczęściem ze znajomych nie było nikogo, ukryłem termin wyjazdu. Nareszcie nadszedł Władek.

— Nabiłeś mi ćwieka — powiadam. — Czyś rano istotnie mówił seryo?

— Naturalnie, najzupełniej seryo.

— Ależ człowiecze..

Błada twarz jego nagle poczerwieniała.

— Mój drogi, bardzo cię proszę, daj spokój. Ty Stasi nie znasz, bzdurstwa ci tylko nagadano, ale jam się przekonał, że i krzty prawdy w nich nie masz.

— A gdybym ci udowodnił..

— Cóż znowu! odparł. — Nie mówmy o tem, co być nie może. Zresztą czuję w sobie, że dla niej na wszystko gotów.. do poświęceń, do zbrodni.. Cóż myślisz, że taki manekin bez krwi i ciała? Za dużo mam tej krwi w sobie, a usta pierwszego lepszego plotkarza nie wyssa mi jej..

Przestraszyłem się tej głębi uczuć. Ja, com jak motyl, z coraz innego kwiatka ssał słodycz, spotkałem się obecnie po raz pierwszy z tak dziwnym egzemplarzem.

We drzwiach mignęła niebieska woalka. Było znak umówiony.

— Zaczekaj, Władysławie! zawołałem i wprowadziłem Stasię do poczekalni pierwszej klasy.

— Jeszcze mamy kilka minut..

Oh, jak mi ta kobieta była w tej chwili wstrętną! Jaką odrazę poczułem do samego siebie, że ją przed kilku godzinami pieścił!

Wymieniliśmy kilka słów obojętnych.

— Wiesz — powiada ona — prócz tej małej walizki nic nie wzięłam ze sobą. Wszak ty pomyślisz o mej toalecie..

— Jak możesz o tem wątpić..

Stanęliśmy na peronie.

— Za sekundę wracam, pożegnaj się tylko z kolegami.

Wpadłem do salonu drugiej klasy i szarpnąłem Władka.

— Chodź, patrz!

Stasia stanęła jak wryta.

— Co to znaczy?

— To znaczy, mości panno, że przyjaciela wyrwał z twych sideł! Żem mu pokazał, czem jesteś w istocie, gdy się ze mną w podróż puszczasz..

Wstyd mię oblał ciemny, połapałem się teraz dopiero, jak niepięknem było me postępowanie.. Przytem ludzie mogli się zbliżyć..

Oczy Władysława zapaliły się a z twarzy krew mu uciekła..

— To być nie może.. niepodobna — wymówił i zatrząsł się febrycznie.

— Podły! sarknęła Stasia obracając się ku drzwiom wchodowym.

Ja już stałem na stopniu wagonu.

— Ale cię uleczyłem! rzuciłem tryumfalnie, jak dzieciak. — Bądź zdrow, Władek!

On przyskoczył do coupé.

— Uwiodłeś ją, nikezemniku! krzyknął z podniesioną pięścią, nawpół nieprzytomny. We mnie krew zawrzała. Ludzie zaczęli się gromadzić. Usunąłem się w głąb wagonu. „Udobrucha się“ pomyślałem „i podziękuje mi jeszcze..“

— Gotów! zawołał konduktor. Lokomotywa świsnęła przeraźliwie i powoli, majestatycznie zaczęła się ruszać.

Lecz cóżto? nagle stanęła, jak zagwożdżona, a na dworcu rozległ się krzyk gwałtowny.

Nastało zamieszanie, jeden z pasażerów otworzył drzwiczki. Dostrzegłem posługaczy, niosących jakieś ciało.

— Rzucił się pod koła lokomotywy! wołano w dzikiej wrzawie.

Rażony piorunem, padłem bez przytomności.

Mnie i Władysława równocześnie zaniesiono do szpitala.

*

*

*

Z silnego omdlenia oczucony, wpadłem w gorączkę i rozdrażnienie nerwowe. Wyszedłem ze szpitala równocześnie z Władysławem, któremu koło lokomotywy kość u nogi pogruchotało. Siedziałem w swem pomieszkaniu, czarnej oddany rozpaczy. Do czego mię lekkomyślność doprowadziła! Postanowiłem wówczas pozbyć się jej; zmienić tryb życia, myślenia nawet, a jeżeli się nie uda — kulką w łeb i do piechoty. Wtem drzwi się otwierają — i kogo widzę? Oto Władek, blady, na lasce oparty rzuca mi się w objęcia.

— Jestem uleczony! wołał.

Wybuchłem płaczem, jak dziecko, które się przekonywa, iż ubóstwianej mamie ciężką sprawiło przykrość. On mię ścisnął i całował.

— Za silnem było twoje lekarstwo — powtarzał — ale poskutkowało.

Wskazałem na laskę.

— Et.. nie to.. Za to pozbyłem się kompletnie szaleństwa i rozpaczy po tej ladacznicy..

Uścisnął mnie, uspokoił żelazny ten a pełen słodczy charakter i udowodnił, że o lasce można zajść daleko.. I faktycznie. On teraz dostał katedrę.

— A Stasia? zapytał opowiadającego jeden z obecnych. — Aby godnie dokończyć bajkę — co się z nią stało?

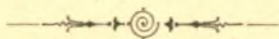
— Ta niedawno skończyła, jak zwyczajna ulicznica..

— Tak.. tak — pokiwał mistrz głową, jakby z własnymi myślami się porozumiewał. — Straszna to była dla mnie nauka, a mimo to, acz walczę z tem zawzięcie, lekkomyślności pozbyć się nie mogę..

— I nie dotrzymuję słowa i nie posyłam sobie naboju do mózgownicy — dodał za chwilę melancholijnie.

Obecni roześmieli się wesoło.


— Toby dopiero prawdziwa była lekkomyślność!



OFIARY.





 *Abraham Chajkes* słynął w całym mieście, ba, nawet w całej okolicy, jako porządny, „solidny“ i bogaty kupiec. Charakterowi jego oddawała hołd liczna klientela i niejedna pierwszorzędna firma wiedeńska, będąca w stosunkach handlowych z wielkim jego sklepem bławatnym; zalety jego i bogactwo czcili w godny sposób współwyznawcy, stawiając go na czele instytucyj religijnych i dobroczynnych, wysuwając go na przodownika każdej działalności zbiorowej, jako pierwszą w *kahale* figurę. Co więcej — sam „*cudotwórca*“ obdarzał Abrahama, będącego bliskim jego krewnym i potomkiem starej, arystokratycznej rodziny, wyjątkowemi względami, uważając go za prawą swą rękę, za główny węzeł sieci, jaką wiernych swoich omotał. Przy tem wszystkiem był Abraham wspaniałym mężczyzną, prezentował się majestatycznie. Wzrost wysoki, twarz wychudła, poorana, ale regularna i pełna powagi; oczy siwe, rozumne a spokojne,

broda imponująca, ubiór dostatni a ruchy pełne godności i dystynkei — te zalety, w połączeniu z bogactwem, stanowiskiem, znaną pobożnością i nauką, czyniły Abrahama ideałem człowieka, kwintesencją cnót wszystkich, wzorem niedoścignionym.. Ileż-to panien i wdówek byłoby serca swe i rękę poświęciły szpakowatemu, ale tak niepospolitemu wdowcowi! Iluż ludzi zazdrościło mu lub błogosławiło!

Mimo to Abraham, posiadając wszystkie warunki do szczęścia, nie wszedł w ponowny związek małżeński, ale w ogóle żył samotnie, nie pozostawając z nikim w mieście w ściślejszych stosunkach. Od wszystkich stronił i trzymał się zdaleka. Ludzie się do niego garnęli, powierzali mu interesa swoje i gminy, on je załatwiał mądrze i sumiennie, ale wyraz zadowolenia, uśmiech pogody, spokoju, nie ukazywał się na jego obliczu. Posępną chmurą było ono okryte, a usta jego zawsze zamknięte. Nie pochodziło to z dumy, ani z wyrzutów sumienia. Był Abraham wszystkim przystępny, nadmiernie nawet dla wszystkich uczynny; każdemu chętnie otwierał kasę swoją, lecz nikomu — serca. Sumienie miał spokojne, w zgodzie z rozumem, sprzyjała mu fortuna, sprzyjali współobywatele, czemuż więc, czemu nie jest on szczęśliwym?

Zapytywani o to współobywatele, znający Abra-

hama zblizka — a któż go nie znał? — kiwali litościwie głowami, przewracali oczyma ze znaczącymi minami, szepcząc: *w rodzinie* Bóg mu nie dał szczęścia..

Istotnie, gdyby ktoś był przeniknął ów tak pięknie wyrzeźbiony i bogatemi ozdobami przez los przystrojony pancerz, jakim dusza jego się okryła, byłby w niej dostrzegł niejedną boleść, która zazwyczaj podgryzała i niszczyła wszystkie korzenie jego spokoju i szczęścia.

— W rodzinie Bóg mu nie pobłogosławił..

Przed laty trzydziestu, w siedmnastym roku życia ożeniono go z młodziutką, bogobojną i bogatą dziewczeczką. Żył z nią Abraham pięć lat a Bóg go nie obdarzył potomstwem. Ojciec, który piastował godność miejscowego rabina, był w rozpacz. Jakoż więc jego jedynak, ostatni z rodu tak sławnego, tak zasłużonego, miałby zejść ze świata bezpotomnie? Nie! mądry zakon przewiduje podobne okropności i dlatego ustanowił rozwód. Abraham więc nagabywany i dręczony, rozwiódł się z żoną, do której serdecznie był przywiązany i ożenił się z córką „cudotwórcy“. Tamta prędko umarła a na śmiertelnem łożu wyznała mu, że ginie z miłości, że nie mogąc żyć z nim, woli nie żyć wcale.

Abraham bardzo się uczuł nieszczęśliwym i aby o tem zapomnieć, rzucił się z niezmiernym zapa-

łem w morze nauki i pobożności *chusydzkiej*. Znalazł tu spokój i zadowolenie.

Niebawem druga żona porodziła mu córkę, a on wychylił się trochę z pomiędzy czterech ścian uczelni i założył wielki sklep towarów bławatnych. Buchhalter prowadził interes a on doskonalił się bezustannie w umiejętnościach i pobożności.

Wówczas zaszedł nieszczęsny wypadek z ojcem jego. Słyszał on jako mędrzec i kabalista, a ostatnie lata życia poświęcił rozstrząsaniu następującej kwestyi ogromnej wagi: Podług jednych *tanaitów* (wielkich uczonych) na „tamnym świecie“ pobożni i sprawiedliwi nie nie robią, tylko wpatrzeni w majestat boży, żyją w wiecznym zachwycie, w głębokiej kontemplacyi.. Podług drugich zaś mędrców — jest „drugie życie“ jednym pasmem rozkoszy i użycia; tam spożywa się mięso olbrzymiego wołu i *Lewiatana*, a pije się wino, przechowane od czasów ojca Noego.. Otóż — która wersya jest prawdziwą? Trzeba szukać odpowiednich wskazówek w Pięcioksięgu Mojżesza, wynajdywać, splatać, porównywać, kombinować pojedyncze słowa, zgłoski i litery lub punkciki „znaczące“ i z nich wyciągnąć logiczne wnioski. Wzniosłemu temu zadaniu oddawał się b. p. rabin z całą gorliwością, niezmierną erudycyą i „wyostrzony“ rozum były już blikie celu, który miał chwałą

i blaskiem okryć Izrael cały — gdy wtem duch nieczysty, zapewne z zazdrości, albo może też z rozkazu anioła, niechającego śmiertelnikom odsłonić tajemnic niebiańskich, pomięszał niezmordowanemu badaczowi zmysły i popchnął go w obłąd, z którego wkrótce śmierć go wyzwoliła.

Dwudziestokilkoletni Abraham pogrążył się od tego czasu w poważnym smutku a tylko praktyka religijna i zgłębianie mądrości niezgłębianej przyniosły mu ukojenie, podnosiły zbolątego ducha.

Żona obdarzyła go synem. Mając już takie obowiązki „ziemskie“, rozpoczął Abraham energiczniejszą działalność w handlu i w gminie. Zięć cudotwórcy — był on chorążym jego sztandaru, nie tylko ze względów dynastycznych, ale i z najgorętszego przekonania.

Tak przeszło lat kilkanaście. Podrastającym dzieciom dał on najlepsze wedle swych zasad wychowanie. Syn chodził do pierwszorzędných *meta-medów* (nauczycieli) a córka, podług zakorzeniającego się powszechnie zwyczaju, uczyła się prócz tego w domu także po niemiecku i po francusku. W piętnastym roku życia miała wyjść za mąż za syna pierwszego w gminie obywatela. Cóż się jednak stało? Pewnego wieczora stanęła przed ubóstwiającym ją ojcem, i bez wielkich wstępów i skrupułów wyznała mu, iż jest śmiertelnie.. zakocha-

ną.. w pewnym oficerze, że ten jest jej wzajemnym.. i przyrzeka się z nią ożenić.

— Umrzesz wprzód! — zawołał ojciec, bolem i zgrozą przejęty.

Żona się rozplakała, on jej gwałtownie nakazał milczenie. Przyspieszył przygotowania do wesela córki, ale w przededniu ślubu panna młoda znikła, uciekła z oficerem. Dowiedziawszy się o tem Abraham skamieniał zrazu z przerażenia i sromu; potem przypadł z szalonym impetem do żony, wołając, że ona to głównie zawiniła. Wyczerpany gwałtownością wzruszenia — omdlał.

Przyszedłszy do siebie zacisnął zęby, zabronił jakichkolwiek za Rózią poszukiwań i zakazał nawet imię jej w domu wspominać.

W kilka tygodni zjawiła się ona sama — w obdartem odzieniu, wynędzniała, chora. Na klęczkach błagała rodziców o przebaczenie, wyznając przytem, iż w zaślepieniu oddała się nędznikowi, który ją porzucił, i że czuje, iż zostanie matką. Ojciec kopnął ją nogą i zamknął przed nią drzwi swego domu. Matka potajemnie umieściła ją u krewnych, w mieście sąsiedniem. Niebawem przy słabości Różia zmarła nieszczęśliwa, a ojciec ani jednej łzy nie uronił, nawet nic nie miał przeciw temu, że jej nie pochowano na okopisku, jak wszystkie dzieci Izraela, jeno w rowie emętacza. „Dobrze tak“,

powiedział z zaciśniętymi zębami. „Ona już dawniej podwójnie umarła.“ — „Dobrze tak?“ krzyknęła nań żona. „Gdybyś ty był miał rozum, gdybyś serce posiadał, nie byłoby zaszło to nieszczęście. Ty był ślepy i głuchy..“

Nie przeżyła matka tego ciosu, wkrótce za Rózią i ona świat ten pożegnała. Szczerze jej Abraham żałował, a dwie te mogiły rzuciły nań cień, który już nigdy z oblicza jego nie schodził. Nikt na niem nie widział uśmiechu.

Wszystkie swe myśli, uczucia i nadzieje przeniósł wówczas na dziesięcioletniego Gabryela.

* * *

W bogobojnym zawsze umyśle Abrahama utwierdziło się wtedy kilka punktów zasadniczych i niemi kierował on się w wychowaniu syna. Miał on głębokie przekonanie, że „opętaniu“ córki było winne wykształcenie europejskie, które jej kompletnie przewróciło w głowie i zaprowadziło ją tam, gdzieby nigdy nie była zaszła, stojąc przy tym sztandarze i na tym poziomie, co babki i prababki, co wszystkie niezarażone mędrkowaniem córą Izraela. Powtóre — olbrzymia część winy ciąży także na tym oficerze, który był synem znajomego z okolicy szlachcica. Bo też pankowie tacy są bez skru-

pułów i bez sumienia. Nie znając wzniosłych przepisów talmudów, nie mają również moralności, gonią wiecznie li za rozkoszą, ich życie jest obrazą Boga i ludzi. A lepszymi nie są także ci niechrzczeni „goje“, co to skąpali się w mętach studyów szkolnych i wyniesione stamtąd brudy rozprzestrzeniają wokoło. Naturalnie; tylko prawowierny, wychowany w bojaźni bożej i tradycyi żyd może być czystym i sprawiedliwym za życia, a zbawionym po śmierci.

Z dwóch tych poglądów zasadniczych, które się wpiły w krew jego i duszę, wyciągnął Abraham logiczną konkluzją i natychmiast wprowadził ją w życie. Postanowił syna swego trzymać zdala od wszelkiej nauki i styczności z nie-żydami. Choć sam w stosunkach handlowych wielokrotnie boleśnie uczuwał brak znajomości języków, choć zawsze z nieufnością powierzał prowadzenie interesu płatnemu buchhalterowi — mimo to powiedział sobie: Jakoś to będzie. Zostawię Gabryelowi tyle, że ożeniwszy się dostatnio, będzie mógł żyć spokojnie i bez troski, jak dziadowie i pradziadowie nasi. A przede wszystkim, niechby się nie zetknął z tymi, którzy z urodzenia, z interesu i wskutek zepsucia są naszymi wrogami.. Rozbrat wieczny, wojna wieczna między nami i *gojami* kipieć musi! oni nie ustąpią, a my poddać się, zaprzepaścić naszej

wiary, zapomnieć świętej tradycyi i świetnej przeszłości nie możemy.. Ani jednego ustępstwa robić nam nie wolno! z gmachu prastarego ani jednego gonta wrywać nie można, bo śniegi i deszcze zaraz wpadną, przegryzą, zepsują krokwie i ściany, aż budynek cały runie..

Trzymał więc Abraham jedynaka w *chajderach*, zdala od świata i życia. Chłopak przebywał dzień cały wśród brudu i ścisku i wrzawy, zgarbiony nad ogromnemi księgami, wyczerpany wskutek żmudnej pracy umysłowej, dokonywanej bezustannie wśród zabójczych warunków zdrowotnych. A wróciwszy do domu zastawał pokój zimny, pusty, pozbawiony tego uroku, jaki go pociągał za czasów jego dzieciństwa rozbrzmiewając śmiechem i figlami siostry, ożywiony ruchliwym krzątaniem się matki. Siedział więc podrastający Gabyriel w kącie izby i dumiał o tem, jak to bywało dawniej, jak inne dzieci mają radość i pieszczoty i wesele, a u niego tak smutno i straszno czegoś.. W drugim kącie nad foliałem talmudycznym siedział ojciec i z nateżeniem wszystkich władz umysłowych badał tajniki wiedzy świętej, pomrukując półgłosem, jednostajnie i gładząc piękną brodę. Czasem przestawał i wzrokiem pełnym miłości i rozczenia ogarniał syna. Surowa, zimna twarz jego wypogadzała się w uśmiechu, w uczuciu dumy i nadziei, a myśl biegła

w dal przyszłości, na tle której syn jego jaśniał, jako sławny i zasłużony rabin, jako chluba rodu, szczęście jego starości, jako ten, który zagoi wszystkie jego rany serdeczne, dotąd niezamknięte i zabłyśnie chwałą i podporą wiernych Izraela, w tym czasie powszechnego zgorszenia i niedowiarstwa..

Gabryel wzrastał w tej atmosferze mroźnej, rzadko ogrzanej pieśczołą i słowem, coby nie z ksiąg nauki a z serca płynęło. Monotonne, ponure życie przerywał czasem ojciec zabierając syna na ważniejsze święta do rezydencyi „cudotwórcy.“ Tam, jakoteż na biesiadach i w modlitewniach miejscowych *chusydów*, grzmiały pieśni i modły hałaśliwe, płynęły strugi wódki, płynęły rozhukane fale życia pełnego tłoczących się nawałem wrażeń. Lecz Abraham i tu nie pozbywał się poważnego swego smutku, z pijacką tłuszczą nigdy się nie bratał, a i Gabryel pozostawał cichym i zamkniętym w sobie.

Jakiemi były te myśli jego, nikt naówczas nie wiedział. Piętnastoletni już wtedy chłopiec czuł dla ojca cześć wielką, połączoną z jeszcze większą bojaźnią; krewnych nie miał, a od kolegów różnił się o całe niebo. Czasem ojciec, serdecznie zadowolony z postępów syna w mądrości i pobożności, wdawał się z nim w dyskusye, aby wpajać weń swe zasady; chłopiec wtedy nieśmiało roztrząsał, tłóma-

czył je sobie, a gdy nie mógł — zadawał ojcu pytania, prosił o wyjaśnienie..

Cieszył się Abraham, widząc kiełkujące nasienie swego siewu, — ale pytania i myśli Gabryela z całkiem innego wypływały źródła. Był on z natury melancholijnym, myślącym i ciekawym chłopcem. Zastanawiał się wcześniej już nad wszystkim, co się działo wokoło, ze wszystkiego zdawał sobie sprawę, a samotność i spokój życia rozwijały w nim nadmiernie te skłonności.

Rychło uderzył go kontrast między postępowaniem ojca a innych. Koledzy uczyli się w domu pisać i czytać po polsku. Przez ciekawość, zazdrość, a niebawem wskutek odczutej potrzeby — zaczął on także kreślić litery i odcyfrowywać alfabet. Potem poznał się bliżej z nauczycielem pewnego kolegi z chajderu. Nauczyciel ów przed kilku laty ukończył był miejscową szkołę ludową a dla braku funduszków, nie mogąc udać się do szkół gimnazjalnych zarabiał na życie udzielaniem lekcyj prywatnych. Był to młodzieniec odcytany i inteligentny. Z uczniem swym i Gabryelem prowadził długie rozmowy i polemiki, przekonał ich o ciasnocie i niedostateczności nauk talmudycznych; opowiadał im cuda niesłychane o nauce współczesnej, jak wiele wspaniałych dzieł ona już dokonała, do jak szlachetnych i szczytnych celów ona ludzkość pro-

wadzi.. Kiedy rodzice owego kolegi myśleli, że synek w drugim pokoju uczy się kaligrafii i rachunków, kiedy Abraham rozmyślał, że czas już Gabryela zaręczyć — młodzi, pełni ognia, co im bił na oblicze, odkrywali i zwiedzali nowe światy. Jak stare domki, napełnione gratami bez użytku, płonęły i rozsypywały się w gruzy dawne ich o świecie pojęcia. Kolega Gabryela dowiadywał się o dziwach tych i nowościach z tąsamą ciekawością i zajęciem, z jakim słuchał *midraszu* (zbioru legend i przypowieści talmudycznych) lub bajki o zaczarowanej księżniczce, przyjmował je do wiadomości, nie wyciągając z nich wniosków żadnych. Gabryel zaś przeobrażał się zupełnie.

Składał grosz do grosza, kupił kilka książek i pokryjomu zaczął brać lekcye u owego młodzieńca. Ojca o tem nie zawiadomił, wiedząc jakieby to pociągnęło za sobą następstwa. Gdy już umiał jakotako rozmówić się po polsku, zaprowadził go korepetytor do nauczyciela miejscowej szkoły ludowej. Nauczyciel ten był człowiekiem dziwnej słodczy charakteru, wielkiego rozumu i poświęcenia, prawdziwy pionier oświaty i krzewiciel moralności w całej okolicy. Przyjął Gabryela serdecznie, czule, zachęcił gorąco do dalszej pracy i zaprosił do częstych wizyt. W każdej chwili wolnej przekradał się Gabryel do starego pedagoga, ten zaś, odkrywszy

w szesnastoletnim chłopaku niepospolite dary umysłu i serca, pokochał go i zajął się nim gorliwie. Zobaczył Gabryel w skromnej nauczyciela izdebce portrety Kopernika, Kościuszki, Mickiewicza. Pytał kto oni, a stary odkrywał przed nim tajniki życia i historii. Mówił mu o kraju ojczystym, o jego przeszłości i dążeniach.. Gabryel wyrabiał w sobie samodzielność myśli, własne ideały i pragnienia, a następnie patrzył naokoło siebie, badał — porównywał, kiedy z ojcem zaglądał do *sanctissimum* cudotwórcy; kontrast go uderzył, żal go objął i ból serdeczny.. Nauczyciel wówczas znowu przed nim stawał z pochodnią oświaty i miłości w ręku, Gabryel się zapalał..

Liczył już siedmnasty rok życia, kiedy raz przyszedł do ojca w niezwykłym usposobieniu. Twarz jego o śniadej cerze, orlim nosie i wysokim czole, bladła, to rumieniała się naprzemian. Abraham siedział przy stole, zatopiony w jakimś traktacie kabalitycznym..

— Ojcze — rzecze Gabryel głosem przytłumionym. — Mam dla ciebie coś ważnego.

Abraham się odwrócił i objąwszy syna za szyję, usadowił go obok siebie. Z tkliwością macierzyńską popatrzył mu w oczy.

— Co powiesz, dziecko?

— Coś bardzo ważnego!

— No, zapowiedziałeś mi już raz..

A widząc, że syn nie mówi, zagadnął z lekkim uśmiechem:

— Pewnie potrzebujesz pieniędzy.. znowu składka jakaś..

Gabryelowi wargi drgały.

— Nie, ojciec — powiada. — Coś nadzwyczajnego.. Prawda, ojciec, że mnie kochasz?

Ten wstęp był istotnie nadzwyczajnym. *Reb* Abraham bystro spojrzął na syna i uszczypnął go w policzek:

— Wygadaj się już raz, bo zaczynam być ciekawy..

— Ale nie będziesz się na mnie gniewał?

— Oho, straszysz mnie Gabryelu. Mów, czego chcesz.

— Nie, ojciec, musisz mi wprzódy przyrzec, iż spokojnie wysłuchasz mnie do końca.

Reb Abraham podniósł się z miejsca, wstrząśnięty przecuciem złem, czy niecierpliwością. Ale syn prędko przycisnął rękę jego do ust rozpalonych.

— Ojciec mój! ja nie jestem dzieckiem, a ciebie kocham jak samego Boga. Wysłuchaj mnie spokojnie.

— Dobrze już, dobrze, tylko mów raz.

Gabryel wyjął papier i rozłożył na stole.

— Patrz, — a słowa z trudnością wymawiał.

To jest.. świadectwo.. że ja dzisiaj rano.. zdałem prywatnie... egzamin... z czwartej klasy szkoły normalnej.

Abraham wpatrzył się weń osłupiały.

— Co ty mówisz, dziecko! co ty mówisz?

Gabryel powtórzył to głosem pewniejszym.

Na twarzy ojca odbiło się przerażenie. Uchwycił syna za ramię.

— Chłopcze, mów! skąd to do ciebie przyszło? co się z tobą stało? chłopcze..

Gabryel znowu ujął rękę ojca i chciał ją do ust podnieść. On szarpnął się gwałtownie.

— Powiesz ty raz, czy nie!

Cichym, drżącym głosem, który powoli stawał się coraz dźwięczniejszym, zaczął młodzieniec opowiadać dzieje swojej metamorfozy. Stary patrzył nań ze spuszczoną głową, ściskając ramię jego konwulsyjnie. Kilka razy wzdrygnął się i spojrzał tak groźnie, to po twarzy jego przebiegły kurcze tak wielkiej boleści, że Gabryel wstawał i zwilżone łzami błagalne oczy weń topił.

— Nu... nu...! — nalegał wówczas Abraham chrapliwie. — Dalej!..

Młodzieniec skończył opowiadanie, pomijając szczegóły, odskakujące zanadto od wierzeń ojca, któreby jeszcze bardziej mogły go być podrażnić.

Abraham padł na krzeszło i uchwycił się obiema dłońmi za głowę.

— Biada mi, biada! — wymówił rozdzierającym głosem. — Boże wielki!

Gabryel ze łzami na śmiertelnie bladej twarzy, złożył ręce i zsunął się do kolan ojca.

Ten zerwał się, jakby go wąż dotknął.

— Klęczysz!? Gdzieś się nauczyłeś tych obyczajów?.. u nich już?.. ty.. dziecko niegodziwe!

Gabryel patrzył nań przerażony.

— Ojczy.. ojczy! — szepnął z boleścią.

Reb Abraham wstrząsnął się całym ciałem, jakby dreszcz go przebiegł wskutek silnego naprężenia woli. Wyrzekł ostrym ale równym tonem głosu:

— Idź teraz! Jak cię będę potrzebował, to zawołam.

Gabryel podniósł wzrok, jak w modlitwie:

— Ojczy mój..

— Teraz pójdiesz! — zawołał ojciec gwałtownie. — Jeszcze dzięki Bogu masz mię słuchać!

Młodzieniec wyszedł powolnym krokiem, a Abraham, jak zawsze, gdy był wzruszony lub bardzo zajęty, zamknął się w pokoju.

Nazajutrz zawezwał do siebie syna. Był spokojny, poważny, jak zwykle i podług zwyczaju gładził długą brodę, spadającą mu na piersi.

Gabryel stanął przed nim jak winowajca, pokorny, nieśmiały z głową spuszczoną.

Ojciec wczął rozmowę obojętną, jakby nic między nimi nie zaszło, a przy rozstaniu powiada:

— Jeśli masz przyjaciół w mieście, to pożegnaj się z nimi, bo dzisiaj wyjedziemy.

Gabryel rzucił się przestraszony:

— Co, ojciec? dokąd?

— Pojedziesz do cadyka. Tam jest sławna *jesziwa* (akademia talmudyczna), gdzie będziesz się ćwiczył w nauce i bojaźni bożej.

Chłopiec schylił się, jakby niezmiernym ciężarem przygnieciony i wyrzekł błagalnie:

— Nie żądaj tego ode mnie ojcze, proszę ciebie...

Abraham po raz pierwszy podniósł głos; gniew, żal, jakim serce jego wezbrało, wybuchnął wreszcie z całą siłą.

— A ty co myślał, dzieciaku jakiś! Że ja pozwolę, by pod moim dachem mój syn Bogu na przekór a mnie na udręczenie tak niecznie postępował?

Gabryel utkwiał w ojca wzrok pełen skargi i wyrzutu, jak dziecko pokrzywdzone.

— Ojcie! rzece po cichu. — Dlaczego nie chcesz mnie rozumieć?.. Wiesz przecie dobrze, że jestem dobrym żydem i synem kochającym.

Abrahama dźwięk ten wzruszył i rozrzewnił. Aby uczucia te ukryć, zawołał szorstko:

— Na co te słowa? Powiedziałem ci już raz!

Pochylona wprzódy pokornie, drżąca bojaźliwie postać młodzieńca, wyprostowała się, jakby ożyła drzemiąca w niej siła i energia.

— Nie zmuszaj mnie ojcie... do nieposłuszeństwa!..

Araham wpatrzył się weń miotany to zdziwieniem, to oburzeniem.

— Co?.. coś ty powiedział?

— Źle powiedziałem! — zawołał Gabryel silnym głosem. — Zamało powiedziałem. Chciałem cię bowiem *także* prosić o wyjazd.. to jest.. abym mógł udać się do gimnazyum..

Z wyciągniętą szyją i osłupiałym wzrokiem stanął Abraham przed synem nieruchomo. Nie mógł własnym uwierzyć uszom.

— Postanowiłem dalej się uczyć, — dodał Gabryel tonem objaśnienia — a ponieważ w naszym mieście nie ma gimnazyum..

Nie mógł zdania dokończyć. Ostatniem słowem, powtórnie wymówionem, uderzył ojca, jak

obuchem ogłuszającym. Abraham uchwycił syna za ramię, wstrząsnął nim gwałtownie i ryknął:

— Ty, *meszymod* (wychrzto) jakiś!

Puścił go jednak w okamgnieniu, odetchnął głęboko i przeszedł się kilkakrotnie po pokoju.

— *Braawonoseni hurabim* (wskutek naszych grzechów) zesłałeś to Boże..! — wymówił kilka razy do siebie, załamując ręce.

— Tylko do *metamedá* pójdiesz na pożegnanie. Żebyś mi do nikogo więcej nie zaglądał! Pamiętaj.. ani słowa o tem, co przed chwilą... Po obiedzie wyjeżdżamy — wyrzekł rozkazującym, niecierpiącym dyskusyi głosem, zapanowawszy nad sobą.

Gabryel z miejsca się nie ruszył. Twarz jego miała wyraz pełen spokoju i stanowczości, a brwi lekko były ściągnięte.

— Ojcze, ja mówiłem całkiem seryo..

— Milcz, ty bezwstydniku! — wybuchnął Abraham porywczco. — Nauczę ja cię rozumu!

Za chwilę znowu się zmiłygował.

— No, chłopcze! — rzecze łagodniej. — Dość już, nie martw mnie dłużej... Daj spokój tym głupstwom...

Również spokojnie, ale z siłą, dobitnie odrzekł młodzieniec:

— Nie odciągaj mnie ojcze od mego posta-

nowienia. Przedsięwzięłem dalej się uczyć i muszę tego dokonać. Talmud i nasze księgi święte są pisane przed tysiącem lat, a świat tymczasem wiele przebył, wiele doświadczył i nauczył się... Ja muszę to wszystko wiedzieć, aby wypełnić tę lukę w naszych głowach, aby mózdz pożytecznie żyć na świecie... na tej ziemi, która nas niegdyś przyjęła gościnnie i która nam jest matką...

Ojciec stał na temsamem miejscu, niesłychanie zdumiony tem zuchwalstwem, tą zapamiętałością cichego i potulnego dotąd chłopca.

— Chłopcze! — wyrzekł. — Bój się Boga! Co się z tobą stało? Więc zło zapuściło swe korzenie tak głęboko?

Znowu podniósł głos i przybrał ton namiętny.

— Nie, ojcze! — powtórzył Gabryel z pokornym szacunkiem, ale stanowczo. — Ja *muszę* się dalej uczyć.

— Zaniedbasz żydowstwo... będziesz żył z *gojami!*..

— I co w tem złego?

— Ostrzyżesz sobie pejsy!.. wdziejesz kusy fraczek!.. będziesz mówił po polsku!..

— I co w tem złego? — zauważył Gabryel powtórnie.

Abraham stał kilka chwil nieruchomo, a słowa

zamarły mu w gardle. Nagle rozsierdził się straszliwie :

— Co w tem złęgo? co w tem złęgo, mówisz? I to ty, ty, któryś był u najlepszych nauczycieli, pod mojem okiem.. ty, potomek tyłu rabinów i *ca-dyków!*.. Boże wielki! Boże wielki!

Gabryel uczuł, że ojca ciężko zranił.

— Ojczye..! — zaczął i ujął go za rękę. Abraham z siłą go odtrącił.

— Precz! niebawem powiesz, że i w sobotę wolno pisać, że i świninę jadać wolno!..

Gabryel i teraz nicby przeciw temu nie miał, ale zbyt kochał ojca. Był gotów do ofiary.

— Zrobię to dla ciebie — rzecze przyciszonym, zrezygnowanym głosem — i zostanę w domu Ale...

— Co za *ale*?

— Przyjmiesz mi nauczycieli i pozwolisz, bym co roku zdawał egzamin w gimnazyum..

Zaczerwieniony, z twarzą, w której wszystkie żyły nabrzmiały, Abraham zmierzył go oczyma i tupnął nogą.

— Ty śmiesz jeszcze..

— Kocham ciebie ojczye i życie-bym ci oddał, ale nauki wyrzec się nie potrafię..

Ojciec padł na sofę.

I *jego* opętało!.. — jęknął z niezmierną bo-

leścią. Poczem zerwał się: gniew, oburzenie, przestach przed nową tą stratą, która mu groziła, zakotłowały w nim z siłą, druzgoczącą powagę i zwykły chłód oblicza. Uchwycił syna za kołnierz i potrząsał nim konwulsyjnie.

— Dyabeł cię usidlił.. duch siostry nieczysty! Miej Boga w sercu.. ja cię nauczę, wyrodku ty jakiś! — krzyczał z zaciśniętymi pięściami.

— Ależ..

— Milcz, dzieciaku krnąbrny!

Gabryel dumnie się wyprostował.

— Nie jestem już dzieckiem! wyrzekł śmiało.

— Co? co? A wiesz ty, błaznie jakiś, że ja w twoim wieku byłem już żonaty, a wobec ojca słowa głośno nie śmiałem wymówić; że za moich czasów tacy, jak ty, kańczugiem jeszcze brali..

— To były czasy dzikie — odparł młodzieniec ze smutnym uśmiechem. — Dzisiaj my inni.

— Kłamiesz! my się nie zmieniamy, nie powinniśmy być innymi! Przodkowie, mężowie boży, wyrąbali, oznaczyli nam drogę życia, a nam od niej zbaczać — nie wolno.. ani o krok.. ani o włos..

— Ale burze wieków pobruździły tę drogę, wyrwały z niej kamienie, wyorały rowy, rzuciły na nią głazów i zawad tyle. My ją musimy oczyścić, naprawić, albo.. choćby i nową sobie torować..

— Chłopcze!

Z rozpaloną twarzą i roziskrzonymi oczyma, jak człowiek, któremu na najświętsze jego uczucia ciśnięto obelgę, przyskoczył Abraham i skurezoną dłoń podniósł nad głowę syna. Ten ujął ją spieszenie i do ust przycisnął.

Abraham zadrżał, przystanął i cofnął się ku oknu.

Po chwilowem milczeniu obrócił się znowu, a twarz jego była blada, ale osiadł znów na niej zwykły wyraz spokojnej powagi.

— Posłuchaj mię — rzecze, usiadłszy przy stole. — Nie wiem skąd w twej głowie myśli tak przewrotne, ale nie mogą one być głęboko zakorzenione. Tyś przecież moim synem! dotąd byłeś mi osłoda i pociechą.. Proszę cię więc, ja, ojciec, *proszę*, wyrwij z siebie te złe zielska! Bo i po co? Mędrcy nasi, badacze, co z natchnienia bożego pisywali, dawno już zbili wszelkie twierdzenia epikurejczyków.. uwierz im..

— Tam, ojczy, gdzie chodzi o spory tak święte, o byt całego plemienia, o szczęście całej ludzkości, tam nie wierzy się ślepo w to, co ktoś mówił przed kilkunastu set laty..

— Ty.. ty, *nie wierzysz?*

— Tego nie mówię, ojczy. Ale chcę uczyć się, szukać, badać, przekonywać się.. My przecie

nie jesteśmy początkiem i końcem mądrości i dobrego.. I inne ludy pracują, myślą..

Gabryel mówił powoli, licząc się ze słowami, z trwogą i czcią wpatrzony w ojca. Ten w młodzieńcu, który przed nim stał w postawie pokornej a ze słowami tak śmiałemi, w twarzy jego bladej, na której gorączka wewnętrzna wypiekła rumieńce, w oczach strzelających, to ogniem przekonania i zapалу, to łzami i prośbą, nie poznał łagodnego, nawpółdzieciniego chłopaka.

— Myślisz, ojcze — ciągnął Gabryel smutnym, jakby z głębi duszy zbolalej płynącym głosem, — że mówię to ot tak, na wiatr, z lekko-myślności, z junactwa lub z kaprysu? A owe noce nieprzespane, a te myśli, co jak rozpalonemi obcęgami odrywały części dawnej mej istoty, a te katusze, których tak śmiertelnie się bałem, gdyż wiedziałem, że i ciebie dotkną, czy to także oznaki, żeś dzieciak.. żeś tylko krnąbrny i bezwstydy?

Młodzieńca, skapanego w ogniu ciężkiego doświadczenia, dojrzałego pracą i powagą, ujrzał przed sobą Abraham. Ukrył głowę w obu dłoniach i zbladłemi wargami wymówił kilkakrotnie:

— Biada mi, biada!.

— A to czemu? wykrzyknął Gabryel, podnosząc hardo głowę. — Nie, ojcze.. nie masz powodu skarżyć się, narzekać.. Zobaczysz, czego

się doczekasz! W świat pójde, w świat nieznanym, szeroki, bogaty.. Skarby tam są, skarby wiedzy, doświadczenia, pracy.. Klejnoty te ja wykopię i tutaj wrócę.. rozdanie pomiędzy ciemnych i biednych, a one rozświecą mroki, wzbogacą wszystkich.. Ciebie wówczas wielbić, ciebie błogosławić będą!

Z dzikim wyrazem twarzy zerwał się Abraham. Urywany, ochrypłym głosem ją wołać:

— To szatan przez ciebie mówi!.. Błuznisz! grzeszysz! serce mi krwawisz .. Co nauka zrobiła z twojej siostry? Milcz, nie syp soli na me rany.. widzisz?

— To nie nauka, ojczu, jeno zaślepienie, przewrotność jednego..

— Cicho mi z tem! Wiem ja sam już.. Mnie wychowano, mię nauczone, mnie mówi tradycya nasza i *cadyk* powiada i doświadczenie moje, że..

— Ojczu, nie przedłużaj tortur naszych!

— Co Bóg wyrzekł prorokom i błogosławionym, co ci spisali a wierni nam przekazali, to święte i wieczne.. Kto wątpi, kto o włos odstępkuje, ten nie jest naszym, ten odstępca.. zdrajca.. precz mi z takim!

— Więc ojczu mię odtrącasz?

Na to słowo w Abrahamie wzdrygnęły się wszystkie uczucia. Upadł na krzesło a łzy mu w oczach zabłysły. Tkliwie, z macierzyńską pie-

szczotą uściskał syna i czułym, przez wzruszenie tamowanym głosem, mówił:

— Ja ciebie? ja ciebie odtrącam? poto-m cię karmił i pieścił, poto-m pokładał w tobie wszystkie nadzieje? Toż tylko ciebie posiadam jednego! A któż mi wynagrodzi bole i straty życia, kto mię w starości podeprze, kto mi zamknie powieki? kto odziedziczy me imię i chwałę rodziny? Oh, synu mój jedyny, toż tobie całe me życie oddane!

Gabryel, co z odwagą najcięższe wytrzymał ataki, teraz głośnym wybuchł płaczem. Ojciec przycisnął go do piersi gorąco.

— Ale wiarę naszą bardziej Kocham! — dodał.

— A ja lud mój Kocham więcej! — wyrzekł Gabryel, którego twarz znowu nabrała hartu i energii.

— Więc nie ustąpisz?

— Nie mogę..

— Unieszczęśliwisz mię na całe życie..

— Ojczy!

— Patrz! — zawołał Abraham ściskając kurczowo dłoń jego, — jestem już dość biedny.. Ojca utraciłem w sposób tak okropny i ja.. i matkę swoją.. Córkę miałem jedyną, a ta mię zbezczeszczyła, hańbą okryła.. Patrz.. włosy mi bieleją, żal i ból wieczny toczą mi serce.. nie mam uciechy ni spokoju.. a ty mię chcesz dobić.. ty..!

Głośne, niepowstrzymane łkanie wstrząsnęło całym jego ciałem. I Gabryel załamał ręce, ze zwilżonem okiem i zaciśniętymi wargami.

— Serce mi się kraje, ojcze! — zawołał — Ale tu nie chodzi o mnie, ani o ciebie, ojcze, tylko o siłę, która ma kierować całym Izraelem, o życie i przyszłość ludu całego!.. Pozwól więc ojcze.. zostanę w domu, będę cię kochał, jak samego Boga, i tu się będę uczył..

— Ani końca palca djabłu nie podam! Raczej ciebie stracić, niż Boga w sercu!

— A ja wiem, ojcze, że prędko poznasz, iż ja mam słusznosc. Wszystko raczej zniosę, niż rozbrat z tem, co się stało sercem mojej duszy.

— Ja cię odpędzę..

— Jeśli taka twa wola..

— Wydziedziczę cię..

— Jeśli taka twa wola..

— I słyszeć o tobie nie zechcę — nawet na łożu śmiertelnem..

— Ojcze!

— Z głodu zginiesz gdzieś na ulicy.. i pies się nad tobą nie zlituje.. Nasi tobą pogardzą, a oni.. ha! ha! kopną cię nogą..

— Nie, ojcze!.. Bóg i dobra sprawa zwycięży!..

Rozpacz i wściekłość ogarnęły Abrahama. Silną

dłonią uderzył, odtrącił syna i z podniesionemi rękoma wykrzyknął dziko:

— Więc bądź przeklęty, bądź przeklęty!

Gabryel przypadł doń przerażony.

— Precz! — zawołał rozszalały namiętnością ojciec, i wypchnął go gwałtownie za drzwi. — Nie mam już syna!

Zatrzasnął drzwi za nim i padł na podłogę.

* * *

Trzy lata minęły. Reb Abraham rósł w chwałę i znaczenie. Rabin cudotwórca, w *druszy* (kazanie) i w rozmowach prywatnych nazywał go świecznikiem wśród panującego zmroku, opoką, na której twierdza wiary bezpiecznie spoczywa. Chusydzi uważali go za bohatera, olbrzyma—ducha i na każdym kroku okazywali mu cześć i posłuszeństwo. A on?

W kilka dni po owej decydującej rozmowie z synem, gdy pełen był rozpacz i walki między sercem a sumieniem, powiedział doń *cadyk* z namaszczeniem:

— Jeżeli w naczyniu jakim znajdują się gady i plugastwa i szkodliwe nasienie, których wytepić nie można, to trzeba i naczynie zdruzgotać, aby tylko zło wyniszczyć.

— Macie słuszość, *rabi!* — odrzekł Abra-

ham złamanym głosem. Od tego czasu ani słowo skargi lub żalu przez usta jego już nie przeszło. Twarz jego ściemniała jeszcze bardziej, skóra do kości przyległa, kurczyła się w zmarszczki i fałdy głębokie a włosy jego prawie zupełnie zbielały. Zresztą zachował tę samą powagę i spokój, co dawniej; do sklepu przychodził regularnie, modlił się żarliwie, gorąco, jak zawsze. Niczem nie dawał poznać, ile grobów w sercu jego się mieści, niczem nie okazywał, iż pamięć syna na sercu mu ciąży. Na rzadkie pytania ludzi obcych odpowiadał zimno:

— Stracony on.. Nie obchodzi mnie wcale.. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co się z nim dzieje..

I rzeczywiście odtrąciwszy go tak bezwzględnie od siebie byłby w kompletnej pozostał nieświadomości o jego losach, gdyby nie listy, które regularnie co tydzień przychodziły z miasta powiatowego, gdzie było gimnazyum. Gabryel, w słowach pełnych czci i miłości, donosił w nich o swem uzdrowiu, o pracy i o niewygasłym przywiązaniu.

Przez rok, przez półtora roku, Abraham z twarzą niewzruszoną a sercem mocno bijącym chciwie odczytywał te pisma, rozmyślał o nich długo z lubością jakąś i zadowoleniem wewnętrznem. Nadzwyczaj uderzyła go okoliczność, iż syn nigdy nie wspomina o położeniu swem finansowem, nigdy nie prosi o pieniądze.

— Z czego on tam żyje? — rozmyślał, licząc wielkie pieniądze przy kasie. — Co on jada?.. dumał, siedząc w dnie powszednie sam jeden, a w sobotę i święta wraz z kilku pobożnymi biedakami przy suto zastawionym stole. — Co on porabia?.. Wyszedł z domu bez centa, z chudym tłomoczkiem pod pachą, przez cały czas nie dostał ode mnie ani grosza — co się z nim dzieje?

Serce ojcowskie tajało, tęsknota ogarniała je ciężka. Kilka razy wetknęła mu pióro do ręki, by napisał słów parę do syna, ale równocześnie zabrzmiały mu słowa *cadyka*, będące i jego dewizą:

— Bóg i Izrael nadewszystko!

W tem haśle mieści się cały zakon, powinno się zamykać życie całe. A taki doktor, taki adwokat, jest-że człowiekiem po myśli Boga jedyne go i prawdziwego Izraela?

— A przecież.. za ostro, za bezwzględnie postąpiłeś! — żaliło się w nim serce zbolełe.

— Jakżeż mogłem inaczej? — odpowiadał sobie z mocą. Każdy objaw pobłażliwości, wszelkie choćby najlżejsze ustępstwo, to przekroczenie, występki! i może stać się tylko kosztem czystości wiary i sumienia, a z niemi w konszachty Abraham się nie wdawał. *Bóg i Izrael nadewszystko!* Jeżeli on, potomek takich przodków, pełen wiedzy i bojaźni bożej, da przykład gorszący, to cóż dopiero

niżsi, słabsi, ubodzy w duchu? Jeżeli każdy pozwoli dziecku do innych krynic chodzić po napój, co się stanie ze źródłami świętymi? co się stanie z jedynie prawdziwym i zbawiennym zakonem? Wyznawcy jego rozprzęgną się, przerzedzą, nasamprzód zmieniają strój, potem obyczaj, dalej język a nakoniec wiarę. Tak, tak, do tego prowadzi nauka! Ma-ż on na to pozwolić? Ma on szatańskiemu temu dziełu dopomóc? Nigdy, przenigdy! Bóg i Izrael nadewszystko!

Wierny sobie i konsekwentny Abraham nakazał więc milczenie gorejącemu sercu, lecz choć zamknięte w kamiennem naczyniu, skamienieć ono nie chciało.

Kupcy i znajomi, którzy bywali w mieście powiatowem, opowiadali czasem, jak Gabryel wypytuje troskliwie o zdrowie i powodzenie ojca, jak bolesne zawodzi żale nad rozłąką. Listy zawierały nieraz błagania tak wzruszające, tak czułe, że Abraham łożom oprzeć się nie mógł. Jednakowoż prędko znowu opanowywał gwałtowne takie wzburzenie i uciekał się pod skrzydła *cadyka* i pobożności. Nieraz przy ucztach świątecznych, gdy się widział otoczonym samemi obcemi twarzami; nieraz, gdy zapadał na zdrowiu i nie miał przy sobie ani jednej bliższej, serdecznej istoty — chciał głośnym ryknąć płaczem i wołał: o Boże! dałeś mi przecie ludzkie serce, abym kochał.. Lecz zaraz przypominał sobie

że tu, jak kiedyś Gabriel się wyraził, nie idzie o sprawę jego osobistą, ale o siłę, która ma kierować całym Izraelem..

I późnym wieczorem wracał sam do domu, siadał w pustym pokoju, i jak w ciemne otchłanie, spoglądał w milczące, martwe, nieoświetlone dalsze izby, a czuwając długo w nocy, prócz chrapania starej kucharki, żadnego śladu życia obok siebie nie czuł. — Wtedy przytulał rozpaloną twarz do poduszki i w cichych łzach gasił ognie, co mu serce trawiły. Fantazya wytwarzała przed jego oczyma postać wymarzoną synowej, siedzącej z nim razem przy stole, postaci drobnych wnucząt, biegających wesoło, szczebioczących tak słodko.. Pogodnie, błogo byłby spędził schyłek żywota, jak w piękny wieczór letni na wsi, a tymczasem.. wokoło samotność, pustka, straszno.. I tak będzie już zawsze, po koniec życia..

— Boże, Boże! — jęczał wielkim bolem miotany ojciec. — Tyś wielki, tyś mądry, tyś.. sprawiedliwy! miej litość, miej litość nademną!

Rano wstawał złamany, śmiertelnie znużony i znowu zakuwał się w pancierz powagi i dumnego smutku, brał foliał talmudu do ręki i modły zaczynał. Odrywał się gwałtem od ziemi, wpadał w egzaltacyą, w szal religijny i silnym, z głębi przekonania płynącym głosem, wołał:

— Bóg i Izrael nadewszystko!

Na jęki i prośby o szczyptę miłości, dochodzące go od syna, zatykał uszy, nakazywał sercu milczenie. A w ostatnich czasach, gdy przejezdni i znajomi zaczęli wspominać, iż Gabryel coraz bardziej żaloszny i tęskny, i że ten nastrój umysłu zdaje się na zdrowie jego bardzo niekorzystnie wpływać, rzekł *cadyk* surowo, do ojca chwiejącego się, jak trzcina między dwoma przeciwnymi wiatrami:

— Pomnij, Abrahamie! żeś ty tutaj naszym fundamentem.. Jeśli ty runiesz, zburzysz gmach nasz cały. Ojcowie nasi z grobów powstaną, z nieba cię przeklną, cały świat tobą pogardzi!..

— Bóg i Izrael nadewszystko! — wymówili wówczas obaj razem i Abrahamowi nagle zdało się, jakoby on był owym biblijnym patryarchą, a Najwyższy żądał odeń ofiary ze syna jedynego..

— Niech się stanie wola Twoja! — wyrzekł. Od tego czasu zwracał wszystkie listy Gabryela nierozpieczętowane i kazał mu powiedzieć, aby przestał pisywać a nie śmiał nigdy na oczy mu się pokazać. Znajomym i przejezdnym zakazał donosić sobie o jego losie. W modłach i nauce starał się zbliżyć do doskonałości; pieniędzmi szafował hojnie na „dobre uczynki“: żeniącemu się synowi *cadyka* posłał w darze srebra, wartości kilku tysięcy; na rzecz pobożnych, sprawiedliwych żydów, osiadłych w Je-

rozolimie, dawał znaczne sumy; karmił i poił rzesze *chusydów*; odrestaurował im własnym kosztem modlitewnię.. a ci go uwielbiali, nosili na rękach.

— Wie Bóg, komu majątek powierza! — powtarzali. — Reb Abraham umie swego przynajmniej użyć pożytecznie.

Błogosławili go ubodzy i chorzy ze szpitala miejscowego. On jednak nie zaznał spokoju, zapomnienia. W nocnych chwilach rozpaczliwego szamotania się widział raz nawet zakon izraelski w postaci Molocha..

— Błuznierco, grzeszniku, zdrajco! — zawołał wówczas na siebie z przerażeniem. Nazajutrz napisał list do kierownika akademii talnudyckiej, aby mu przysłał najlepszego swego ucznia, gdyż zamierza przybrać go za syna i serce swe i majątek mu oddać..

Przyjechał młodzieniec długi, wymokły, o ciągle ku niebu wybałuszonych oczach i łokciowych pejsach. Gdzież on podobny do wdzięcznej, słodkiej postaci tamtego? Przy każdej sposobności popisował się głęboką uczonością, erudycją niezmierną. Pyszałek nieznośny! Tamten byłby już do tego czasu skończonym *tanaitą* (wielki uczony.) Nowoprzybyły uważnie obserwował swego protektora, poznał czułą jego strunę, i raz wieczorem, gdy Abraham, siedząc nad księgą, patrzył przed się bez-

myślnie, a na zasepione oblicze powoli łyzy zaczęły spływać, zbliżył się młodzieniec na palcach, uściśnął nagle obie jego ręce gorąco i zawołał głosem, któremu chciał jak najwięcej nadać akcentu serdeczności:

— Bóg z wami, reb Abrahamie. Toż i we mnie macie tak kochającego, tak wiernego syna..

Wzdrygnął się Abraham i zbladł silnem ogarnięty wzruszeniem. Ale zaraz się opanował. Na drugi dzień wyprawił owego młodzieńca napowrót do *jesziwy*. Sam jeden pozostał się na świecie — sam jeden..

* * *

Jak zawsze, gdy nie miał ważnych interesów do załatwienia, siedział Abraham po śniadaniu, zatopiony w grubej księdze. Drzwi pokoju się otwały i wszedł nieznany mu młodzieniec. Po ubiorze, po długich jasnych włosach i niebieskich oczach można było poznać, że to nie-żyd. Zdjął kapelusz i dźwięcznym głosem zapytał:

— Czy tu mieszka pan Chajkes?

— Ja jestem — ozwał się tenże i podszedł do gościa. — Co pan powie?

— Przybywam od pańskiego syna.

Abraham oparł się o stół, a pierś mu się ścisnęła.

— Jeżeli pan masz interes, to proszę pójść do sklepu; tam jest buchhalter..

Młodzieniec zmarszczył czoło.

— Powiadam panu, że jestem tu w sprawie jego syna..

— Ja nie chcę o tem słyszeć.. nie mam syna! — przerwał mu Abraham porywczo.

Przybyłemu na twarzy żyły nabrzmiały.

— Tak? — zawołał podniesionym głosem. — A coby było, gdybyś pan doprawdy syna stracił? Coby było, gdyby Gabriel.. umarł?

Zbladły i drżący przypadł doń Abraham i uchwycił go za rękę.

— Co pan mówisz?

— Więc panu przecież na tem zależy!

— Mów pan.. prędko.. zaraz, co się stało?

— Gabriel jest chory.. bardzo chory..

— *Reboni szel olem!* (panie świata!) — krzyknął Abraham, usunąwszy się na krzesło bezwładnie. — On słaby, Gabriel mój, a ja o niczem nie wiem..

— Zwracałeś pan wszystkie listy — odparł młodzieniec z gorzkim uśmiechem.

— Ale przecież nie bardzo? — zawołał ojciec zerwawszy się na równe nogi. — Gdzie on jest? ma on doktorów?

— Słuchaj pan! — rzecze młodzieniec prędko-

ko. — Znam i kocham Gabryela, mieszkałem z nim w jednej stancyi. On zawsze był smutny i przygnębiony, gryzł się okrutnie, pracował nad siły, klepał biedę, straszną nieraz, a szczególnie w ostatnich czasach.. Dość że wpadł w roztrój nerwowy; w ostatnich czasach przyłączyło się jeszcze coś do tego, a przed tygodniem miał atak ciężkiej choroby sercowej..

Nie rozumiał Abraham dobrze całego opowiadania, i to podnieciło jeszcze jego przerażenie.

— I co? — szepnął zdławionym głosem.

— Teraz mu lepiej — dodał młodzieniec pospiesznie.

Abraham odetchnął głęboko.

— Był w szpitalu..

— Syn mój w szpitalu?

— Miotał się, uparkł, aby go zawieść do domu..

— I? — krzyknął Abraham pełen trwogi.

— I musieliśmy to uczynić.

— Gdzież on? gdzie? — powtórzył kilka razy gorączkowo.

— Zapewne już blisko.. Jam naumyślnie wysiadł na przedmieściu, aby pana uprzedzić..

Abraham porwał leżący na krześle kapelusz młodzieńca.

— Chodź pan, prędko..

— Nie potrzeba — ozwał się student.

Na progu, prowadzony i podparty przez jednego kolegę i żyda jakiegoś, stanął Gabryel. Wysoka jego postać wydała się obecnie o wiele dłuższą, wskutek schudnięcia. Twarz żółta, skóra przyklepiona do kości wystających, oczy płonące niespokojnym ogniem. Tak wyglądał ten sam młodzieniec, który przed laty kilku, w rozkwicie sił i młodości, pełen ufności i wiary w sny swe tężowe, rzucił dostatni dom ojcowski — dla idei! Stanął, wychudłe, kredowe ręce wyciągnął do ojca, chciał ku niemu podejść i zachwiał się. Zanim go jednak towarzysze zdołali przyprowadzić, trzymał go już Abraham w ramionach i z uniesieniem przyciskał do piersi.

— Dziecko moje jedyne! dziecko moje!.. — wołał z głośnem łkaniem.

Jak niemowlę uniósł go na rękach i posadził na sofie.

— Przecież jesteś znowu!..

Cofnął się o kilka kroków.

— Boże, jak ty strasznie wyglądasz!.. Tyżeś to?

— To nic, ojcze.. — wyrzekł Gabryel, którego policzki i oczy płonęły. — Byłem chory, tęskniłem niewymownie, i źle mi było.. Lekarze pozwolili zawieść mię tutaj.. Ale teraz wyzdrowieję.. prędko wrócę do sił.. Czuję wprawdzie,

jakby ktoś mi obcęgami serce szarpał i młotem mózg rozbijał, ale to.. mary dawne. Wszak wybaczasz, ojczy?

Reb Abraham załzawiony wziął go znowu w objęcia.

— Synu!

Z chciwością wpił Gabryel usta swe w rękę ojca, a ten przytulił twarz swą do włosów jego, do twarzy gorejącej.

Nagle odskoczył i wpatrzył się weń okiem przerażeniem.

— Ty.. golony..

— Ty golony! — powtórzył ochryplym głosem i chwycił się za głowę.

— Tego się doczekałem! Prawdę *cadyk* mówił.. Ty się wyzuł z żydowskości, sprzeniewierzyłeś się zakonowi.. Z *gojami* razem żyłeś..

Przyskoczył i objął go za głowę.

— Prawda.. ty golony! — wykrzyknął znowu i odepchnął silnie głowę jego, że młodzieniec padł na sofę. — Ty *meszymod* (wychrzta), ty zdrajco!.. Wyrodku.. ty przeklęty!

Krzyk rozległ się w izbie, jęk, jakby z głębi pękającego serca a reb Abraham wypadł do drugiego pokoju.

Za kilka chwil poskoczył tam za nim student, zaczerwieniony na twarzy, z dzikim błyskiem oczu

i podniesioną ręką. Zdawało się, jakby chciał nią zdruzgotać stojącego z zaciśniętymi wargami Abrahama. Przystanął jednak hrapliwie i syknął:

— Gabryel nie żyje.. To wy-ście go zabili!..

* * *

Zgromadzeni żydzi położyli trupa młodzieńca na wiązce słomy, nogami ku drzwiom wchodowym, i przykryli go starą bekieszą ojcowską, zatrzymali zegar i zasłonili zwierciadło. W kątach izby siedziało kilku pobożnych, którzy mruzczyli na intencją ar *mysznajos* (traktaty talmudyczne).

— Lepiej tak dla Abrahama.. i dla nieboszczyka lepiej! — powtarzali.

Ojciec przez cały ten czas się nie pokazywał. Zamknięty w osobnym pokoju, jak to zawsze czynił, czując się wzruszonym, wił się w boleściach niewymownych i targał rozpacznie długą swą brodę. To się rzucał na sofę i szlochał, miotając się konwulsyjnie, to znowu z suchemi oczyma przebiegał po pokoju tam i napowrót i przypadłszy do ściany, tłukł osiwiąłą głową o mur. Do izby, gdzie posługacze właśnie ciało zmarłego troskliwie myli i czyścili, nie zaglądnął ani razu od chwili, gdy przywołany lekarz, po sumiennych oględzinach i po

rozmowie ze zrozpaczonymi studentami, skonstato-
wał wypadek śmierci.

— *Insufficiencia bicuspidalis* — rzekł lekarz
poważnie i odszedł nie mając tam nic już do
czynienia.

Ciemną noc, w której Abraham żył dotąd
od lat kilkunastu, przerwała nagle piekielna bu-
rza. Biły gromy, oslepiały go błyskawice, targał
go wichur i deszcz siekł okrutnie. A w ogniu,
który co chwila rozdzierał widnokrąg i zdawał
się chcieć go cały zalać, dostrzegł Abraham obraz
swój i Gabryela.

— Com ja zrobił! co ja zrobię! — powta-
rzał zsiniałemi wargami. Trwoga, żal i boleść
zapaściły weń ostrza swe rozpalone, rozszarpnęły
wszystkie węzły, jakie dawniej myśli jego spajały.
Porwane huraganem, w kipiący zmieszwały się chaos.
Napróżno chciał z nich wydobyć dźwięk jaki zro-
zumiały, napróżno domagał się odpowiedzi, tłukł
o ściany głową, targał włos biały.

Dlaczegoż to? — pytał sam siebie — dla-
czego? Jaka siła nim władała? Kto wydał na
syna, kto kazał wykonać wyrok śmierci?..

Przebiegł Abraham pokoik i stanął przed
ścianą, na której wisiał kunsztownie rzeźbiony
myzroch (obraz), z jaśniejącym u góry napisem:
Zawsze uprzytamniam sobie Boga..

Rzucił nań okiem zmartwiałem i dreszcz go przebiegł.

— Bóg?...

— Oh, straszny, mściwy, nieubłagany Ty! — wyszepnął. — Tak okrutnie mię karzesz.. za co?

Ów most wiary ślepej, po którym Abraham dotąd przechodził bezpiecznie ponad wodami i przepaściami najgłębszemi, zachwiał się obecnie, podniesiony w swych zworach i miotany przez kipiące uczucia fale.

— Syna mego zabrałeś... tak okropnie!.. czemu? — mówił do tej potęgi, jaka samowładnie dotąd w nim panowała. A głos jej odrzekł surowo, słowami wielkiego *cadyka*:

— Jeżeli w naczyniu jakimś znajdują się gady i plugastwo i nasienie szkodliwe, których wytępić nie można, to trzeba i naczynie zdruzgotać, aby tylko zło wyniszczyć..

— Rozbiłem naczynie!.. zło wyrwałem z korzeniem! — powtarzał w duchu Abraham, ale w głąb serca własnego spojrzawszy, — uczuł z przerażeniem, że zgrozą przed samym sobą, że gdyby najlepsze cząstki jego duszy mogły być nasieniem a krew serdeczna rosą, poświęciłby je bez wahania, aby tylko wyrósł znowu, aby ożył kwiat ten święty...

Podwójna trwoga i rozpacz ogarnęły go obecnie.

— Co się ze mną dzieje? co się dzieje? ja bluźnię! — pomyślał z rozpaczą. — Dziecko moje jedyne, gołąbku mój biały — i zapłakał głośno, — jużes uleciał!.. jużem cię stracił! — na zawsze...

— Abrahamie! rozległ się w izbie głos poważny, uroczysty, i *gabe* (adjutant cudotwórcy) bawiący chwilowo w mieście, położył mu dłoń na ramieniu. — Ręka pańska cię dotknęła..

Abraham dłużej nad sobą nie zdołał już panować i wybuchnął:

— Gdybym był słuchał głosu, co mi zawsze brzmiał w sercu, nie byłby on umarł.. To wy winni!

Gabe spojrział nań z wyrzutem, niemal groźnie:

— Niezbadane są wyroki Opatrzności — wyrzekł z surową powagą. — *Burech dajon emes.* (Bądź pochwalon, o sędzio sprawiedliwy —)! Przedkowie nasi poświęcali majątki, szli na wygnanie, pasy z ich dzieci darto, żywcem ich palono... dla wiary.. a ty, Abrahamie? Co u ciebie droższe i świętsze? Bóg i Izrael nadewszystko!

Abraham powoli wyprostował zgarbioną pod straszmem brzemieniem postać. Uczuł nad sobą magnetyczną siłę *cadyka* i słów jego wysłańca. Stłumił żal swój niezmierny i przez łzy i jęcząc powtórzył:

— *Burech dajon emes!*

* * *

Wydał tedy rozporządzenia co do pogrzebu, buchalterowi polecił rozdzielić obfitą jałmużnę i kazał do siebie zaprosić dwóch tych studentów, którzy syna przywieźli.

Z trudnością dali się oni nakłonić, przyszli jednak. Rozjątrzeni, splakani stanęli przed nim, ze słowami goryczy i bólu na ustach. Na ich widok Abraham stracił znowu równowagę.

— Panowie — rzekł tłumiąc łkanie. — Ciężko mnie Bóg ukarał. Straszno mi i gorzko..

Ujął ich za ręce i przyciągnął do siebie. On, co przed kilku godzinami żywił śmiertelny żal i nienawiść do *gojów*, obecnie patrzył w ich twarze z serdecznem rozczuleniem i ścisnął ich dłonie, powtarzając :

— Takie nieszczęście!.. takie nieszczęście!.

— Wy-ście znali mego syna, prawda? wy go dobrze znali?

— Znaliśmy doskonale — zaczął jeden ze łzami i drgającym głosem. I opowiedzieli dzieje życia wspólnego, bied, walk i cierpienie wspólnych. Mieszkali w ubogiej stancyjce, często jednym dzielili się kawałkiem chleba, jednym ubiorem. W szkole profesorowie lubili Gabryela nadzwyczaj, dawali mu lekcyę, zarobek, a on pracował z ogromnem nateżeniem, w dzień i w nocy. Walczył nieraz z głodem.. z dumą, która go często piekła bo-

leśnie, gdy jako dwudziestoletni, dojrzały młodzieniec, musiał siedzieć na jednej ławie z dziećmiakami. Przytem czytywał, zapracowywał się na śmierć. A nad nim wieczny zalegał cień: wspomnienie o ojcu. Nigdy nie brał udziału w zabawach i przyjemnościach młodzieży; ani jednej chwili nie miał spokojnej, swobodnej.. Gdy w pokoiku inni, choćby o głodzie i chłdzie, śpiewem i wesołością odpędzali żrące ich troski, on siedział poważny, surowy, czasem łzę ukradkiem ocierał. Chwilami tonąc w marzeniu, sam siebie głośno pocieszał, że gdy cel osiągnie, wtedy przebłagać da mu się ojciec, zrozumie go.. Ale słowo skargi, narzekania, wyrzutu nigdy z ust jego nie wychodziło.

— Boże, Boże! — wołał Abraham w dzikiej boleści łamiąc dłonie, aż palce w stawach chrzęszczały. — Boże wielki!..

— Oto do czego zaślepienie, do czego ciemnota i fanatyzm doprowadza! rzekł drugi młodzieniec sentencyonalnie.

Abraham zwrócił się ku oknu, przytulając rozpalone czoło do szyby. Szamotał się rozpaczliwie sam z sobą.

Gdy się obrócił, miał oczy suche, świecące, a twarz sztywną, spokojną.

— I wy — rzecze — wy się nim tak zajmowali, wy — chrześcianie?

— A któż go nie szanował, któż go nie kochał! — wykrzyknął pierwszy.

— Toż my jak bracia żyli!

Reb Abraham ukrył twarz w obu dłoniach. Nie widział teraz przed sobą syna, pędzącego życie tak przeciwne przykazaniom Boga i tradycji; w ludziach, których poczytywał za wrogów zaciętych, dostrzegł nagle tyle miłości, tyle wspólnego bólu, że nie mógł się oprzeć głębokiemu rozrzewnieniu.

— Panowie — rzecze opanowany nagłą myślą.

— Prawda, wy z mym synem żyli i biedowali razem?

— Tak.

— Pozwólcie panowie.. nie wiem, co się we mnie dzieje, ale.. chciałbym was prosić.. mój Gabryel pragnąłby tego, cieszyłby się.. Ja wam będę przysyłał co miesiąc.. po pięćdziesiąt reńskich.. dopóki szkół nie skończycie. Zgoda?

Ujął ich za ręce, przyciągnął i uścisnął gorąco.

— Dobrze?.. To od Gabryela..

Jeden ze studentów, brunet ze zmarszczonemi brwiami, wyrwał gwałtownie swą rękę.

— A jego pan zabiłeś? — syknął z goryczą.

Abraham błędem okiem wpatrzył się na niego, nie mogąc słowa wyrzec.

Blondyn patrzył nań ze współczuciem i podał mu dłoń.

— Nie, panie — rzecze. — My tej zapomogi przyjąć nie możemy... Zanadto kochaliśmy Gabryela.

— Więc nie chcecie? — zawołał ojciec głosem, w którym brzmiało zdumienie i żal ciężki.

— Naturalnie. Ale o coś innego pana poprosimy.

— Ha, o co?

— Prosimy pana — rzecze blondyn, ściskając dłoń jego silnie — prosimy bardzo, aby pogrzeb nie odbył się już zaraz, jak u was zwyczaj, tylko za dwa dni!.. Wzdryga się w nas uczucie ludzkie do głębi, na myśl, aby tak bezwzględnie rzucać do grobu na pastwę robactwu przyjaciela, którego ciało jeszcze nie ostygło, który przed kilku jeszcze godzinami był między nami, taki sympatyczny, tak dzielnego umysłu! Oswoić się tak trudno ze stratą jego. Nie czyn nam pan tej przykrości..

Abraham ściał usta gorzko.

— Teraz — powiada, — teraz, kiedy wszystko już stracone, mam ja się zmienić? Nie! — zawołał silniejszym głosem. — Byłem i pozostanę dobrym żydem! Ani o krok, ani o włos..

Studenci opuścili Abrahama, jeden z wyrazem

pogardy,—drugi litości, a w nim zamęt myśli rozszalał z nową siłą. — I ci nawet, ci chrześcianie, także potargali jedną strunę w jego sercu.. A zaskarbić ich sobie nie mógł.. Gdyby oni ofiarowaną pomoc zechcieli przyjąć! Toby go choć trochę połączyło z synem ukochanym.. choć słabą nicią..

Zmartwiałego prawie od śmiertelnej zgryzoty ujął buchhalter pod ramię i poprowadził na pogrzeb. Abraham prędko przetarł oczy, zacisnął zęby, usiłując przybrać powagę i chłód oblicza, jak zawsze. Milczący, z wlepionym w ziemię wzrokiem posuwał się za czterema deskami, obwiązanymi powrozem, w których spoczywał syn jedyny. Nikt go nie żałował, nikt łzy nie uronił, cicho i głucho posuwał się orszak ponury. Wielu pobożnych głośno objawiało radość z ubytku jednego odszczepieńca, na którym widocznie palec boski spoczął; wielu cieszyło się na myśl, że majątek Abrahama obecnie w zupełności przypadnie ich partyi w udziale. Słyszał, odczuwał ojciec nieszczęsny te głosy, a katusze jego się potęgowały. W to więc obróciły się marzenia jego i nadzieje? Prace więc i myśli całego żywota idą teraz w otchłań wieczną, a dokoła ani oddźwięku serca, ani nuty współczucia!.. A młode, piękne to drzewo potrzaskane — za co? Za to, że chciało spotężnić, owocem wszystkich karmić, cieniem chłodzić, kwiatem upiększyć.. I za to.. Boże! Boże!

Spuścili ciało w czarny grób. Obecni — podług zwyczaju — zaczęli odmawiać *mechilę*: (prośbę) „Gabryelu! *proszę cię o przebaczenie, poraz pierwszy, poraz drugi i poraz trzeci, za wszystkie krzywdy, za wszelkie zło, jzkie ci wyrządziłem.*“

Abrahamowi zdawało się, że mu serce pęknie. Głosy, wymawiające bezduszną formułkę, proszące nieboszczyka o odpuszczenie im krzywd i uraz, wydały mu się urąganiem, krwawem szyderstwem. Otworzył usta, aby odmówić *kadosz* (modlitwę za umarłych), poruszył wargami i.. runął nad otwartym grobem.

* * *

W kilka godzin później siedział „na pokucie“. Twarz jego była zielonawa, oczy martwe, szkliste, a włosy całkiem posiwiały. Wziął do ręki księgę Joba, którą w dniach żałoby należy odczytywać, i upuścił ją na podłogę; spróbował skupić myśli około punktu z *Mysznajos* (traktat) i zaraz stracił wątek. Zerwał się i ze suchemi oczyma i głową bezwładnie spuszczoną włókł się po pokoju, stawał co chwila przy oknie, to przy komodzie, nie nie widząc przed sobą.

— Ah! — jęknął nareszcie głucho. — Wszystko stracone już na zawsze.. niepowrotnie!..

Wyjął z kieszeni liścik. Było to pismo Gabryela z przed lat kilku. Prosił w nim ojca o liść, o zmiłowanie się. — „Miej wzgląd! — błagał tam Gabryel — i chciej zważyć, że nie jestem „dzieckiem, ani takim człowiekiem, coby przy ogniu „cudzych cierpień piekł sobie słodkie ciasta. Nie! — wołał młodzieniec. — Wiem, co robię, porzucam „wygody, dostatek, przyszłość, ciebie ojciec nawet „opuszczam, a dla siebie nic nie znajdę, niczego „nawet nie pragnę. Tak jak się kocha Boga, mimo „że próby i doświadczenia Jego są ciężkie, tak uko- „chałem ja naukę i cel życia.. Chodzi mi o tych, „co biedni są i nieszczęśliwi i ciemni, co jako krety „żyją tam, gdzie słońce nie dochodzi i gryzą korze- „nie roślin pożytecznych, na szkodę matki-ziemi; „a sami pożałowania są godni, gdyż nie wiedzą, „co to blaski i ciepło słońca“.

Tak pisał niegdyś Gabryel. Abraham odczytał to kilka razy, litery tańczyły mu przed oczyma, jako węgle rozżarzone wpadały mu do głowy i w serce, i rozpływały się strumieniem palącej lawy po wszystkich żyłach. Nie czuł teraz wielkiego tego bólu, który rano torturował całe jego jestestwo; głuche tylko wrzenie w piersiach; uczucie, jakoby mu szpilki wbijano w całe ciało; obłęd, który mu mgłę rzucił na umysł i oczy, ciężkość, obezwładnienie, wyzerające resztę sił — to ogarnęło Abrahama,

wprowadziło w stan bezgranicznej rozpacz. Tak to na polu, po szalonej burzy, po gromach i błyskawicach, wichur huczy głucho, roznosi wyrwane przez burzę kwiaty i gałęzie, tumanami kurzu zakrywa cały widnokrąg i wypełnia go smutnym, wstrząsającym jękiem.

Abraham pochwycił kilka razy pękającą głowę w obie dłonie, to znowu rozłożył szeroko ramiona, dysząc przytem tak ciężko i głęboko, że oddech brzmiał jako westchnienie pogrzebowe za westchnieniem. Nie mógł przyjść do siebie. Nakoniec party niezmiernem znękaniem, dokonał czynu niesłychanego, poraz pierwszy w życiu popełnił grzech z całą świadomością. Umoczył chustkę w zimnej wodzie i przycisnął ją do czoła kilkakrotnie, czego w dniach pokuty czynić nie wolno.

To go trochę oprzytomniło. Przywołał na pomoc sztukę opanowywania się, w której się ćwiczył od tak dawna i uspokojony nieco usiadł przy stole. Polepszenie to spotęgowało jednak jego cierpienia, przywróciło mu zupełnie władze umysłowe a one nasunęły przed oczy obraz syna, jedynaka, który po latach okropnej pracy i męki, po ciężkiej chorobie, wyciąga doń błagalnie ręce, prosi o zmiłowanie a on go odrzuca, zabija.. Przestraszył się Abraham samego siebie, serce mu się tak ścisnęło, iż tchu nie mógł pochwycić.

Odczytał jeszcze raz list Gabryela, a podniósłszy oczy dostrzegł przed oczyma napis obrazu: *Zawsze uprzytamniam sobie Boga.*

— Tak! — pomyślał. — Co się ze mną stało? tak dalece się zapominam! To ten.. syn mój, chluba, nadzieja moja jedyna.. jedyna..

Przypomniały mu się słowa, jakie na ementarzu wyrzekł doń *gabe*: — „Abrahamie, pierwiej byłeś żydem, niż ojcem!“

— Prawda! Bóg i Izrael nadewszystko! A taki, jak ten.. zmarły.. człowiek, który całkiem zrzucił z siebie szaty żydowskości, zmienia twarz swoją a w piersi wkłada nowe serce, bijące inaczej, działające inaczej, już u wszystkich wiernych.. takiż czy jest żydem?

A przecież.. Abraham czuje, że cała dusza wrywa mu się do tego syna, czuje, że oddałby kilka lat życia, aby posiadać fotografię syna, tę samą którą przed kilkunastu miesiącami spalił.

Wiara żarliwa, nawyknięcie, które drugą stało się naturą, poglądy jakimi umysł nasiąkł za młodu, znowu wzburzyły się w nim, znowu zawrzały, a na ich falach ukazuje mu się nagle widzenie: Człowiek starannie wygolony, w kusym fraczku, z cygarem w ustach jedzie kareta do kasyna, gdzie się bawią i trefne jadają. Jestto właśnie dzień sobotni, wszyscy wierni wracają z modłów i ustami

pełnemi pogardy i przekleństwa wołają: Widzisz Abrahamie, to syn twój.. zakała Izraela.. lepiej, gdybyś go był w kolebce udusił..

— Lepiej? — czy lepiej? — woła znów serce ojcowskie. — Ten jedyny, ukochany..

— Ten jedyny, ukochany — mówi głos drugi — popełnił tysiące uczynków, z których każdy, podług przykazań bożych na śmierć zasługuje..

— Prawda! — przyznaje Abraham i chwytą się za piersi. — Ty Boże wpoileś we mnie miłość ku dziecku, ty kierowałeś mem życiem.. Było ono li tobie oddane, tak bezgranicznie wierne, a tyś je tyloma nieszczęściami uścielił..

Przeraził się Abraham tonu słów własnych. — To zaślepienie! — woła na siebie. Szamocę się, szarpie, walczy z ułomnością własną, z pychą grzeszną i samolubstwem, które szatan nań nasłał..

Oh, gdyby mógł teraz się wypłakać!..

W strasznych katuszach miotał się Abraham, a dokoła niego pusto i głucho. Ani jednej żywej duszy. Sam zamknął drzwi przed czeredą *chusydów*, która się doń tłoczyła, z minami wprost wesołemi, że Bóg już unicestwił tego odstępcę; a oprócz tych przyjaciół, kogoż posiada Abraham na świecie więcej? Ci naigrawają się z jego boleści.. ci są prawdziwie pobożnymi — a on? W rozterce z Bogiem, w walce ze sobą ma istnieć dalej.

I wkońcu.. ach, żeby to już jak najprędzej!.. wkońcu znajdzie się w objęciach śmierci, a nikt go płakać nie będzie.. a obcy mu oczy zamknie. Imię jego zaginie bezpowrotnie.. i płatny człowiek będzie za duszę jego odprawiał modły *kadosz*..

A to wszystko dla wiary.. dla wiary!

A przecież tej wiary strzegł, jak oka w głowie, przecież niczem nie zgrzeszył, dlaczegoż Bóg jego karze?.. dlaczego? Jest-że to sprawiedliwość?..

Główny filar, na którym opierało się całe życie Abrahama, zachwiał się nagle pod siłą tego pytania.

Śmiertelna, bezbrzeżna rozpacz nim owładła.

* * *

Drzwi pokoju się otwarły, wszedł buchhalter. Abraham podźwignął się z trudnością. Buchhalter przedkłada mu, iż w bieżącym tygodniu przypadają wypłaty.

Abrahamowi nie wolno teraz zajmować się interesami, mimoto skupia, natęża myśli, by tylko z kimś pomówić.

Trzeba pokryć kilka weksli u firm wiedeńskich.

— Weksle? — odpowiada Abraham przeciągle. — Pieniądzy prawie wcale nie mam.

— Ogłoszą krydę! zawołał buchhalter przestraszony. — Ja mówię wam oddawna: nie macie głowy do interesów, zaniedbujecie się okropnie, a teraz.. bankructwo, ruina!

Słowa te nie czynią na Abrahamie żadnego wrażenia. Sięga do kieszeni, aby buchhalterowi wręczyć trochę gotówki.

Lecz cóż to? Pugilaresu z pieniędzmi nie ma. Szuka uważnie, przetrząsa kieszenie. Miał tam znaczną sumę, gdzieżby się podziała? Kilka tysięcy!..

Zakłopotany, stroskany łamie sobie głowę, zagłada do szuflad i skrytek wszystkich. Nie! miał je z pewnością przy sobie.

Nagle buchhalterowi myśl błysła w głowie. Zwierza się szefowi; czy nie upuścił on pugilaresu z kieszeni.. tam.. na okopisku, gdy ze wzruszenia.. usunął się na grób nieboszczyka?

Nie inaczej — tylko tam zgubił pieniądze!

Co począć? co tu począć?

Rada w radę, buchhalter wnosi, że nie pozostaje nic innego, jak chyba.. grób rozkopać.

— Co? — krzyknął Abraham.

— Jeżeli się nie zdecydujecie — odpowiada buchhalter, — to sklep pozostaje bez gotówki,

wypłaty chyba zawiesimy.. a przytem.. Ludzie się dowiedzą i kto inny grób rozkopie..

Posłano do rabina. Zezwolił.

Wieczór letni okrywał okopisko jasnością i zapachami kwiatów i drzew. Wysokie, białe płyty nagrobne, drzewa, trawa bujna, skąpane w łagodnych blaskach księżyca, wyglądały fantastycznie, posępnie. Między niemi obok świeżo usypanej mogiły stał Abraham, oparty o kamień i o ramię buchhaltera. Grabarz rozkopuje świeży nasyp, rozrzuca łopatą grudki ziemi, garstka ciekawych stoi na uboczu szepcząc w przerażeniu, Abraham topi wzrok w otwierającej się coraz bardziej paszczy, co przed kilku godzinami syna pochłonęła..

— Nie ma, wracajmy! — mówi nakoniec, czując, że mu nogi odmawiają posłuszeństwa.

— Tu musi być — twierdzi buchhalter.

— Oni gotowi i zmarłego wykopać! — odzywa się ktoś z ciekawych.

Grabarz nagle się pochylił.

— A co? jest? — woła buchhalter spiesznie.

Ten przypadł doń, trzęsąc się jak we febrze.

— Panie, panie! — szepnął szcękając zębami.

Buchalter się nachylił i cofnął z przerażeniem.

Blady był śmiertelnie.

Blask księżyca padał w rów niegłęboki, oświetlając wystającą okropną głowę straszną. Twarz to

była sina, snadź w potworych kureczach i konwulsjach wykrzywiona; oczy miała szeroko rozwarte, dzikie, jakby skamieniałe, jedna ręka, krwawa, poszarpana tkwiła w zębach, a druga ze spletem wyrwanych włosów sterczała do góry nad głową, jakby sklepienie rozbijała.

— Żywcem zakopany! krzyknął buchhalter, któremu włosy na głowie powstały.

— W letargu! — wyrzekł grabarz.

Krzyk okropny przeszył w tej chwili powietrze. Abraham tarzał się po ziemi, jak epileptyk w napadzie strasznej choroby. Porwali go obecni, chcąc wyprowadzić z cmentarza, ale on szarpnął się wściekle, wyrwał się im, wyprostował w całej wysokości i z dzikim wyrazem twarzy przyskoczył do najbliższej stojącej kobiety. Pochwycił ją za rękę:

— Wiesz? — zawołał chrapliwym głosem, świszczącym, przeraźliwym: — Wiesz? Byłbym zabijał syna.. dziecko moje.. Gabryela..

Kobieta wyrwała się mu przerażona i poczęła uciekać.

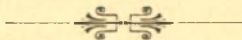
— Ha, ha, ha, ha, ha! — rozległ się nieprzytomny, dziki śmiech Abrahama. — Boisz się? Nic to.. Memu synowi nic nie będzie! Ha, ha, ha! Toż ja go kocham — pozwalam mu się wychrzcić!..

Buchhalter uchwycił go za ramię, ale Abra-

ham odtrącił go gwałtownie i głosem okropnym, z rękami podniesionemi w górę, jał wołać:

— Wy bydłeta, chodźmy się wyrzucić. Nuże! Ogólmy sobie brody, prędko-ż! Ha, ha! nie chcecie? Dzieci wam zdechną, zakopią wam je żywcem!.. A co? tego to się boicie? Dobrze! Chodźmy Ale wszyscy razem — wyrzucić się — wyrzucić, wyrzucić..

I Abraham, okazały, poważny mąż, odrzucił precz kapelusz i błyskając groźnie oczyma, na wszystkie strony rzucał klątwy, i wyjąc, z pianą na ustach rozszalały popędził do miasta..



**Księgozbiór
Zajaczkowski**

30,

88448 / 26 XI 74

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

78803

Biblioteka WSP Kielce



0173122